

H. C. R. S.
G. S. R. S. F. S. S.

696 B.

W szkołach

W SZKOLE ŻYCIA.

POWIEŚĆ DLA MŁODZIEŻY

przez

MICHALINĘ GRZYMAŁA-ZIELIŃSKĄ

Praca premiiwana na konkursie „Przeglądu Pedagogicznego“ 1887 r.

Skład sędziów konkursowych:

Białowiejski M.

Czarnocka H.

Ad. Dygasiński

W. David

Roman Plenkiwicz

H. Wernic.

M. Weryho

Nakład Leopolda Szyller-Rackiego.

Tejże autorki poprzednio wyszło:

Dziecięcy Świat, pośród lasów, pól i chat.

Na tle swojskiem.

Teatrzyk amatorski dla dzieci.

Wyprawa po złote runo (Biarta).





W SZKOŁĘ ŻYCIA.

POWIEŚĆ DLA MŁODZIEŻY

przez

MICHALINĘ GRZYMAŁA-ZIELIŃSKĄ

(M a).

Praca premiowana na konkursie „Przeglądu Pedagogicznego” 1887 r.

(Z 4-ma rycinami X. Pillatiego).



WARSZAWA.

NAKŁAD KSIĘGARNI NAKŁADOWEJ L. SZYLLERA.

Nowy Świat N. 21.

—
1889.



103689

Дозволено Цензурою.
Варшава дня 26 Мая 1886 г.

I.

Nieszczęśliwi.

Mglisty jesienny poranek nastąpił po chłodnej nocy; słońce jakby zaspiane, leniwo, to wychylało się zza chmur, to znowu ukrywało za niemi, niby mając ochotę zadrzemać jeszcze. Ale w starej karczynie stojącej przy jednym z głównych gościńców naszego kraju panował ruch gwarny i przyspieszony. Kilka rozmaitych wozów i wózków, bryczka, i wielka bryka kryta płótnem, jaką izraelici pospolicie przewożą ludzi mniej zamożnych, otaczały karcznię, a koło nich uwijali się podróżni, żwawo, nawołując się wzajem i umawiając z karczmarzem o zbyt wygórowaną ceną noclegu.

Wielka bryka z płócienną budą stanowiła tu wyjątek, bo nie noclegowała wcale, tylko jak zwykle tego rodzaju omnibusy, wlokła się przez całą noc, a teraz właśnie przystanęła na popas. Brodaty woźnica opatrywał swe konie, łając je i poszturchując przytem, jak to jest we zwyczaju u takich woźniców; liczna gromada podróżnych najróżnorodniejszej powierzchowności wysypała się z budy, i tłocząc się przez ciżbę wychodzących z karczmy, wchodziła do niej dźwigając torby, węzélki, koszyki, niedość pewne w bryce.

Pomiędzy wchodzącymi odznaczało się porządkiem odzieniem i nadzwyczajnem znękaniem czworo osób, widocznie rodzice z dwojgiem dzieci. Sam ojciec zacięte miał usta, prawie błędne oczy i wyraźną rozpacz na twarzy; prowadził pod rękę kobietę śmiertelnie bladą i poruszającą się z największem wysileniem. Dwoje dzieci siedmio i dziewięcio letnie wystraszone, przerażone, nie spuszczaając prawie oczu z twarzy rodziców, szło za nimi pilnując się ich same, a nawet mimo dziecinnych latek, starszy chłopczyzna pa-

miętał o paru węzełkach i z największym trudem wywłókł je z budy, spostrzegłszy że inni ludzie zabierali także swoje. Dziewczynka pilnowała się brata trzymając się go za paltocik jedną rączką, gdy drugą wlokła za sobą podany przez niego koszyk, nie mogąc go nieść inaczej. Oboje mieli łzy w oczach i drżeli zarówno ze strachu jak z chłodu, a gdyby chłopiec pozwolił był łzom tym potoczyć się po twarzy, dziewczynka byłaby niechybnie wybuchnęła rzewnym płaczem. To też chłopiec widząc to, powstrzymywał się od płaczu wszelkimi siłami. Z rozsądkiem i mocą duszy nad wiek swój, zbierał myśli aby zachować przytomność, zaopiekować się siostrą, pamiętać o małych pakunkach, i nie stracić z oczu rodziców przedzierając się z trudem przez karczemną ciźbę.

W parę godzin później, gdy konie odpoczęły i podjadły, woźnica przegryzając jeszcze cebulkę z chlebem, schował worki z obrokiem, poprawił uprząż, zajrzał w głąb bryki, potem obszedł ją do koła poprawiając tu i ówdzie, a nareszcie

wszedłszy do karczemnej izby, stuknął biczyskiem w podłogę i wyrzekł kilka słów w swoim żargonie. Podróżni, po większej części jego współwyznawcy powstali zaraz, zabierając się w dalszą drogę; inni poszli za ich przykładem, domyślając się, że woźnica wzywa i ich do zajęcia miejsc w bryce.

Gdy tłoczono się w brykę pod płóciennem nakryciem, ścieśniając się jak śledzie w beczce, woźnica stał kurząc z krótkiej fajki. Skończywszy palić, wytrząsnął ją, schował, zajrzał wewnątrz bryki i mruknął coś gniewnie, jego współwyznawcy zakrzyczeli coś po swojemu, chrześcijanie zawołali, że jeszcze brak tych... tych państwa chorych... i woźnica mruczając wrócił do karczmy i wszedł do izby zajętej przez opóźniających się podróżnych.

W nędznej i brudnej izbie, na łóżku grochowinami zasłanem i narzuconem ledwo szalem podróżnym, niegdyś pięknym, leżała chora kobieta, w pół nieprzytomna, jęcząc; dzieci łzami teraz zalane, przerażone, siedziały w kącie na pakunku

podróżnym, a dwie bułki i dwie szklanki mleka stały przed niemi nietknięte; ojciec zrozpaczony, z załamaniem rękami stał na środku bezradny, widocznie nie wiedząc co począć.

— No, jedziemy!—rzekł woźnica wchodząc i mocno stuknął biczyskiem w podłogę. Nieszczęśliwy podróżny nie mogąc prawie mówić, wskazał mu tylko obiema rękami chorą na łóżku.

— Ja muszę jechać; innym podróżnym pilno!—odparł woźnica.

— Cóż mam czynić nieszczęsny! Jedźcie, zwróćcie mi tylko część pieniędzy które z góry kazaliście sobie zapłacić,—rzekł biedny człowiek zdławionym głosem.

— Co?—zakrzyknął woźnica z gniewnem uniesieniem—zwracać pieniądze? A dasz mi pan innych pasażerów na swoje miejsce? Ja mam tracić! za co mam tracić? Czy ja wam kazał jechać? Kiedyście chorzy to trzeba było wam leżeć, nie zaś jechać!..

I tak krzyząc bez względu na jęki chorej i łkania dzieci, ponawiające się za każdym jękiem

matki, zaperzony woźnica już wychodził, gdy podróżny zawołał nagle:

— Czekaście no! — Dziwna myśl przyszła mu do głowy w tej chwili rozpacz, myśl która nie zaświtałaby w niej nigdy w innym razie, a teraz wydała mu się zbawczą.

— Jestem ubogi urzędnik spadły z etatu — rzekł — przez rok cały starając się napróżno o jakąkolwiek pracę, przyszedłem do ostatniego zubożenia. Teraz jadę do brata do Kielec gdzie, mam nadzieję przy jego pomocy znaleźć nareszcie sposób do życia; pieniędzy mam przy sobie tak mało, że z głodu umrę z dziećmi gdy mi tu przy chorej żonie przyjdzie jakiś czas posiedzieć. Wy macie zapłacone za przewiezienie czterech osób i pieniędzy zwrócić nie chcecie, bądźcież na tyle przynajmniej uczciwi, żebyście mi dzieci same odwieźli do Kielec i oddali w ręce mego brata który tam w waszym zwykłym zajeździe oczekiwać będzie...

— Czemu nie mam odwieźć! — uspokoiony woźnica odrzekł.

— Ale na miłosierdzie boskie, to są dzieci!... Czy będziecie mieć o nich staranie, żeby które nie wypadło z wozu, żeby nie zginęło, żeby głodne nie było?—mówił proszącym głosem biedny ojciec.

— Co to ja nie człowiek? nie ojciec? Czy ja nie wiem co to dzieci!...—odparł izraelita.

— A więc, w imię Boże!.. bierzesz je na twoje sumienie, człowieku; mój brat Józef Wojczyński w Kielcach będzie z pewnością czekać w waszym zajeździe, jest już powiadomiony że wyruszyliśmy w drogę... Dzieci, Guciu...—tu ojciec spojrział na dzieci i słowa zamarły mu na ustach na widok ich przestachu. Dziewczynka zrozumiawszy tylko iż ma nastąpić jakiś rozdział, chwyciła jedną rączką brata drugą ojca za suknie i stała tak jak skamieniała z zaciśniętymi rączkami; ale Gucio zerwawszy się przy pierwszych słowach ojca nie chwycił go, tylko wielkimi przerażeniami oczami w niego wpatrzony, silił się widocznie na zrozumienie całej rozmowy, a straszna bladość która powlokła nagle twarz chłopczyny dowodzi-

ła, że grozę położenia uczuwał dokładniej od siostry.

— Guciu!—rzekł ojciec z jękiem, załamując ręce,—jeżeli ty mi nie dopomożesz, zginiemy tu wszyscy!...

— Co mam czynić? — wyjąkał chłopiec ledwo mogąc mówić.

— Miej odwagę, zaopiekuj się Zosią przez drogę, stryj na nas czeka, wszak go znasz,.. dziś wieczorem będziecie u stryja, oto masz kilka złotych drobnemi... jeden dzień... droga już niedaleka, a ja przez to oszczędzę pieniędzy na ratowanie waszej matki i swobodniejszy będę...— Takimi urywanemi słowy tłómaczył się nieszczęśliwy człowiek przed dzieckiem; ale nie powiedział jeszcze wszystkiego: czuł on się tak wyczerpanym i bezsilnym a środków do ratowania żony miał tak mało, że pewny był prawie iż oboje pomrą w tej nędznej karczmie, i dla tego właśnie do stryja dzieci odsyłał, że lepiej im było jechać samym, niż zostać w karczmie sierotami bez żadnej opieki. Gucio nie domyślał się tych

tajemnych myśli ojca, lecz za to nad wiek rozumiał jego brak środków ratunku dla matki, a chociaż pragnąłby był sam czuwać nad matką, to przecież wiedział, że doktor więcej tu pomoże. Wiedział także że ojciec nie zwykł mówić słów próżnych, i dla tego wyrazy „jeżeli ty mi nie dopomożesz, zginiemy tu wszyscy” zdecydowały chłopca:

— Pójdź Zosiu, ojciec tak każe!—rzekł i zaczął usta ze wszystkich sił, mocując się z sobą aby łązy z oka nie puścić. Czuł, że siostra patrzy na niego, że wybuchnie płaczem za jego przykładem, a wtedy trudna byłaby z dzieckiem rada. Przycisnął do ust zwieszoną z łóżka rękę matki, potem rękę ojca który w tejże chwili przytulając usta do jego czoła poszepnął:

— Pamiętaj o siostrze!...—i odwrócił się gwałtownie, bo sił mu brakło pożegnać dzieci, których pewien był, że więcej nie ujrzy. Gucio pociągnął Zosię i w chwilę później, sam prawie nieprzytomny z żalu i wysilenia aby nie płakać, znalazł się w bryce, trzymając zawsze Zosię za

rączkę. Wielka bryka potoczyła się w drogę i jednocześnie patrzący za nią przez brudne okienko karczemne, ojciec dwojga dzieci, rzucił się na twardą ławę i głośno zeszlochał.

II.

W podróży.

Mała Zosia nie płakała, pomimo że coś ją jakby bolało koło serduszka, ale dziewczynka nie umiejąca jeszcze cierpień fizycznych od moralnych odróżnić, wiedziała już, że ból każdy trzeba znosić cierpliwie. Raz już skaleczyła nóżkę okropnie a nawet nie krzyknęła, aby nie przestraszyć chorej matki, i teraz więc cierpiała w milczeniu ten jakiś ból serduszka. Patrzyła tylko w brata jak w tęczę, nie śmiąc go spytać dla czego tak dziwnie wygląda? Czy gniewa się na Zosię? I za co, kiedy Zosia jest grzeczna i posłuszna, robi to co starsi każą, jedzie do stryja nawet nie płacze, chociaż ma płakać ochotę bo serdecznie pragnie zostać przy chorej matce.

Ona jednak jedzie nie dobrze jakoś wiedząc co się z nią dzieje?..

Gdy takie niewyraźne myśli mącą się w głowie Zosinej a ona patrzy dużemi oczami na brata, tymczasem kobiety których kilka w bryce jechało zaczęły trącać się wzajem i szeptać między sobą i woźnicę wypytywać, aż jedna z cicha rzecze do drugiej patrząc na Zosię:

— To małe jeszcze nic nie rozumie, ale chłopakowi wartoby dać choć wody albo piwa trochę, żeby go ocucić, bo wyraźnie zmartwiał z żalu i gotów nam tu zamrzeć w bryce wprzód jeszcze nim tam jego rodzice w karczmie poumierają, chorzy, bez grosza.

Usłyszawszy te słowa, jakkolwiek cicho wymówione, Zosia zrozumiała nagle wszystko i chwytając brata za szyję obu rączkami, zaczęła krzyczeć rozdzierającym głosem, płacząc gwałtownie:

— Guciu! Guciu! do mamy! do tatki! Mamo! tatko! Guciu!

— E, po coś kuma tak głośno mówiła, teraz i my będziemy mieli krzyk nad uszami i dzie-

ciskom próżnego żalu się narobiło—mruknęła inna kobieta, gdy Gucio nie mogąc się dłużej powstrzymać, w uściskach siostry wybuchnął ciężkiem łkaniem.

— To lepiej, bo tłumiony płacz udusiłby chłopca,—odparła tamta.

Tymczasem podróżni izraelici przyzwyczajeni zapewne do ciągłego krzyku własnych dzieci, rozprawiali swarliwie między sobą, nie zważając na rzewne łkanie małego rodzeństwa. Jedna tylko izraelitka wsunęła Zosi piernik w rączkę, ale podniosła go mrużąc i schowała napowrót, gdy zauważyła, że biedna drżąca rączka dziewczynki wypuściła go nieświadomie.

— Nie płaczcie dzieci nie, zaraz wrócicie do mamy i do tatki, zobaczycie! tylko bądźcie grzeczne...—mówiły kobiety, usiłując ich uspokoić, tak jak się nic nierozumiejących malców uspakaja.

— A cicho mi bębny bo was z bryki powyrzucam i wilcy was zjedzą!—huknął jakiś człowiek drzemiący w najdalszym kącie.

— Hej, panie Icek! ja cię bez tej muzyki godziłem! Na jakiego licha wpakowałeś tu te skrzeczące dzieciaki!—dodał zwracając się do woźnicy, ale ten odparł:

— No, obiecałem, że odwiozę do stryja, do ojcowego brata, to odwiozę... i ja ojciec... bim, bam, bum...—i śpiewał sobie po swojemu, zacinając bezustannie chude koniska; wielka buda toczyła się dalej, bez przerwy.

Rzewny płacz Zosi oprzytomnił jednakże Gucia po chwili, bo przywiódł mu na myśl słowa ojca:

— „Pamiętaj o siostrze!”

— Cicho Zosiu—rzekł, tuląc ją do siebie i całując serdecznie, gdy tylko mógł sam powstrzymać się od płaczu, — musimy tak czynić, jak tatko kazał, bo nie można inaczej; a widzisz ja sobie myślę, że jak tylko stryjowi opowiem co się z rodzicami tam w karczmie na drodze dzieje, to stryj, choć sam nie bogaty, przecież pojedzie do nich i da im jaki taki ratunek, a może i przywiezie ich do siebie i będziemy znowu wszyscy

razem. Bylebyśmy tylko jak najprędzej dostali się do stryja.

W ten sposób pocieszając Zosię, brat potrafił i ją i siebie samego uspokoić, bo istotnie tak myślał jak mówił i wielką miał w stryju nadzieję. Przytuleni do siebie popłakiwali oboje zawsze w pocichu, ale już oprzytomnieni; w karczmach przydrożnych, gdy bryka przystawała dla wytchnienia koniom, Guccio kupował po trochu mleka i chleba dla siostry i dla siebie i tak jechali wyglądając z utęsknieniem końca podróży. Zjęte własnem strapieniem, dzieci nie zważały wcale, gdy ich towarzysze zmieniali się i w bryce, stało się ciasno niezmiernie, a woźnica, spotykając inne takie same bryki, rozmawiał gwaro i swarliwie z ich woźnicami, wskazując na dwoje dzieci które wiózł. Te, choćby to wszystko i zauważyły nawet, to z rozmów tych nie mogłyby nic rozumieć.

W południe i potem drugi raz, gdy już dobrze było ciemno, Guccio, widząc że Zosia drży, wyjął ją z wozu, poprosiwszy ludzi o pomoc. Prz dłuższym przystanku kupił w karczmie gorącego

piwa, które ich oboje rozgrzało i posiliło, tak, że gdy się pociemku z wielkim trudem i strachem do głębi bryki napowrót dostali, to przytuliwszy się do siebie drzemać zaczęli, łkając czasami przez sen, i otwierając co chwila oczęta, w nadziei że może już stryja zobaczą, zaglądnącego do bryki. Bo wszak wieczorem mieli już stanąć w Kielcach.

Jakoż stanęła bryka nareszcie i sen zupełnie dzieci odleciał:

— Stryju! Stryju Józefie! Czy jest tam pan Józef Wojczyński?—wołało to jedno to drugie, wytykając główki za płótno nakrywające brykę. Ale stryj nie pokazywał się, tylko ludzie obcy zmieniali się koło nich.

— Siedzieć cicho, dzieci! — ktoś zawołał i bryka ruszyła znowu.

— Co? Albo to nie Kielce jeszcze?—zdziwiony Guccio zawołał.

— Ho, ho, Kielce daleko. Siedz cicho, nie kręc się maleze!—odpowiedziano. Zdziwione dzieci po niejakiem czasie spostrzegły, że się ro-

zwidnia, a więc, że to jest poranek nie zaś wieczór, a one jeszcze nie przyjechały do Kielc.

— Czyby bryka stanęła gdzie na nocleg, gdyśmy spali?—pytał sam siebie Guccio, i zebrawszy się na odwagę, postanowił wypytać woźnicę, ale spojrzawszy na niego uważnie przy dziennem świetle, przeraził się dopiero okropnie. Ujrzał, że to był już wcale nie ten woźnica, który wiozł ich poprzednio z rodzicami. Spojrzał Guccio natychmiast na konie i o mało nie krzyknął, bo i konie teraz były siwe, a wprzód kasztany.

— Wielki Boże, czyliżbym wieczorem pomylił się pociemku i wsiadł do innej nie do naszej bryki!...—pomyślał i zbliżywszy się, jak mógł do woźnicy, mimo gniewu współtowarzyszów podróży, wołających aby spokojnie siedział, jął zaklinać i pytać go, aby mu powiedział, co się stało? dokąd jadą? i gdzie się podział Icek, który wiozł ich pierwej. Prośby zrozpaczonego chłopczyny i serdeczny płacz Zosi, w któreń uderzyła widząc, że się stało coś złego, zwróciły ogólną uwagę jadących, a w końcu i uwagę samego woźnicy,

który zagadany z siedzącymi koło niego, długo wcale na prośby Gucia nie zważał.

— Cicho dziecko—zawołał nakoniec, przekręcając po swojemu wyrazy—nie bój się, nikt was nie krzywdzi; kiedy Icek kazał was zawieźć do *Kielce*, to ja was zawiozę do *Kielce*; a co tobie szkodzi czy tą bryką jedziesz czy inną? Ickowi trafiło się w drodze czworo podróżnych na miejscu wasze i waszych rodziców, a wszystko czworo oni chcieli koniecznie razem jechać, więc on ich wziął, a was oddał mnie, bo mnie po drodze będzie was odwieźć, i prosił żebym ja na was wielki wzgląd miał, bo on waszemu ojcu pod słowem obiecał was odwieźć, cała wasza jazda już zapłacona jest, więc czego chcesz ty dziecko? Siedz a czekaj!

To usłyszawszy, wszyscy podróżni przyznali słuszność woźnicy i kazali dzieciom siedzieć spokojnie. W istocie nie pozostawało nic lepszego do zrobienia: dzieci przytuliły się do siebie, drżąc, choć Gucio udawał jak mógł, że się nie boi, aby nie

przstraszać Zosi; każdy z jadących myślał o swoich kłopotach; bryka toczyła się dalej.

Toczyła się bryka długo, aż nareszcie koła jej zawarczały na bruku miejskim i wkrótce wsunęła się w napełnioną gwarnym tłumem bramę i podwórze zajazdu.

— No, jesteśmy na miejscu!—odezwał się z uciechą ten i ów i za chwilę porozchodzili się podróżni; tylko dwoje dzieci, trzymając się za ręce, płątało się pomiędzy tłumem izraelitów i innych obcych ludzi, swarliwie przysposabiających się już bo innej podróży, ustępując co chwila z drogi nowym, z kąd inąd przybywającym brykom.

— Panie Wojczyński! Czy nie ma tu gdzie Józefa Wojczyńskiego?—wołał jak mógł najgłośniej Guccio.

— Stryju! Stryju Józefie! A gdzie ty?—wołała Zosia. Ale słaby głos dwojga dzieci nikł w ogólnym halasie, zapełniającym jeden z najbardziej uczęszczanych zajazdów dużego miasta.

Wtem spostrzegł Guccio ostatniego woźnicę który dzieci przywiózł, potem znikł, a teraz stał wśród wielu innych swych współwyznawców, rozmawiając z nimi hałaśliwie i wskazując na dzieci, które też co prędzej podążyły do niego:

— No,—zawołał z daleka—ja przyrzekł Ic-kowi zawieźć was do Kielca i chciałem z wami teraz tam iść, a tu dowiaduję się, że Kielca dawno niema, bo ten zajazd już zniesiony i dom zburzony; a ja o tem nie wiedziałem, bo dawno nie byłem w Warszawie, i nigdy my też u Kielca nie stawali!..

— Z drogi... Z drogi!..—zakrzyczano w tej chwili i dwie olbrzymie bryki, przeładowane podróżnymi, wtoczyły się na podwórze zajazdu tak, że Guccio ledwo zdążył uciec na bok w kąt, pociągając Zosię za sobą, aby ich nie stratowano. Stał się nowy nieopisany hałas i tłok, który odłączył dzieci od owego woźnicy, jedyne go człowieka choć trochę im tutaj znajomego, a którego nie ujrzały już więcej w życiu. Guccio, niejasno zrozumiawszy, że zaszła jakaś pomyłka, w czem

niczyjej może winy nie było, tułał się z Zosią po zajęździe, dopóki stróż grubijański i bezlitosny nie wypchnął ich za bramę, mówiąc:

— W Warszawie nie wolno włóczyć się po domach i przepatrywać kąty, bo za to małych włóczęgów do cyrkułu policyjant bierze.

Dwoje nieszczęśliwych dzieci bez żadnej opieki i bez grosza, znalazło się na ludnych ulicach gwarnej Warszawy, gdzie ich przywieziono istotnie skutkiem fatalnej pomyłki, gdy Icek i jego przyjaciel, woźnica w drodze spotkany, zajęci tysiącem różnorodnych interesów, źle porozumieli się między sobą. Icek żądał, aby dzieci odwieziono do miasta Kielc, a jego współwyznawca myślał o zajęździe Kielca w Warszawie, dokąd sam jechał. Dowiózł więc dzieci do Warszawy, gdzie na wstępie dowiedział się, że zajazd Kielca już nie istnieje, a jednocześnie dowiedział się także o śmierci kupca, z którym był w handlowych stosunkach, i o ciężkich spadających nań z tego powodu kłopotach. O dzieciach przywie-



zionych, gdy mu w tłoku zeszły z oczu, zapomniał zupełnie, pomyślawszy zrazu, że muszą przecież mieć w Warszawie swoich chrześcijańskich krewnych, kiedy do Warszawy z tak daleka jechały.

III.

Bez dachu.

Trzymając się zawsze za rączki, dwoje dzieci zziębłych, zgłodniałych, ogłuszonych wrzawą dużego miasta i własnem nieszczęściem, szło zwolna ulicą, nie wiedząc dokąd i po co. Nie płakali, bo po prostu łez im już nie stawało. Gucio z boku tylko spoglądał na zmienioną twarzyczkę Zosi i myślał:

— Znam się na drobnych pieniądzach, nie zgubiłem i nie zmarnowałem ani grosza z tych, które mi dał ojciec, ale kupowałem dwa razy dniem po szklance gorącego piwa Zosi i sobie; jaka szkoda! gdybym był wiedział, że za kilka godzin nie staniemy u stryja, byłbym nie kupował

piwa, choć ojciec tak zawsze robił w podróży, albo kupiłbym jedną szklanekę na dzień dla Zosi...

A teraz oto nie mam już ani grosza, a Zosia drży...

Zimny, przejmujący deszcz jesienny zaczynał padać, krótki i chmurny dzień gasł; Guccio schronił się z siostrą w otwartą bramę jakiejś kamienicy i oboje usiedli na schodkach w bramie.

— Handel, handel, handel! — zawołał izraelita handlarz z kilkoma sztukami starzyzny, przewieszonemi na ręku, wchodząc z ulicy przez bramę na podwórze tegoż domu. Jakaś kobieta przyszła z dziurawemi trzewikami w ręku, targowała się z handlarzem i sprzedawała mu trzewiki. Guccio zastanowił się, spojrział po sobie, zdjął ciepłe rękawiczki i poszedł do handlarza, aby je sprzedać. Ale izraelita wzruszył ramionami i rękawiczek kupować nie chciał. Wtedy Guccio zdjął z głowy czapkę i, po targu, sprzedał mu ją za dwadzieścia groszy, choć wiedział, że była daleko więcej warta, ale handlarz więcej dać nie chciał; Guccio wszedł do cukierni i poprosił o szklanekę gorącego mleka i bułkę.

— A ty? nie jesz? — spytała Zosia.

— Chciałem piwa gorącego, jakie ojciec dawał nam w drodze, ale tu nie ma, jak w innej cukierni będzie, to się napiję, tymczasem ty pij choć mleko, bo ci zimno i od rana nie jadłaś, — rzekł Guccio. Biedny dzieciak nie mówił prawdy pierwszy raz w życiu, domyślał się, że nie starczyłoby mu pieniędzy i zgadł. Zostało mu tylko kilka groszy i znowu trzeba było wyjść na ulicę, ażeby nie być wygnanemi jako włóczęgi, tak jak z zajazdu, co było dzieciom bolesnem niezmiernie.

Szli koło roztwartych drzwi kościoła pełnego światła, gdy kilka karet zahuczało na bruku i stanęło a strojny orszak weselny zaczął wysiadać i wchodzić do kościoła. Deszcz zimny padał ciągle; Guccio wsunął się za godownikami do kościoła, posadził Zosię w zacisznym kątku na wyższym schodku przy konfesyjonałach, sam usiadł na niższym, był zmęczony i w głowie mu się myśli mąciły:

— Co będzie z nami dalej? Co będzie?...—
pytał sam siebie po cichutku, i spojrział na Zosię. Dziecko zmęczone i rozgrzane gorącym mlekiem już spało, wsparłszy główkę o ścianę konfesyjonału.

— Co będzie, gdy służba kościelna wygnas na deszcz i noc z kościoła? Ojczy nasz, który jesteś w niebie... zlituj się nad biednymi dziećmi...—chłopiec ukląkł i modlił się, a łzy, które zdawały się już wyczerpane, płynęły teraz znowu, gdy nie potrzeba było wstrzymywać ich, aby nie przerażać Zosi.

Modląc się, Guccio nie wiedział kiedy znękanie wzięło nad nim górę, i wpół na klęczkach, pochyłony na schodki konfesyjonału, twardo zasnął.

Służba kościelna nie zajrzała jakoś tego wieczora do ciemnego zakątka pod ścianą za konfesyjonałem.

Potężny głos organu obudził dzieci, które zrazu wcale nie wiedziały, co się z niemi dzieje; po chwili przecież Guccio zebrał myśli i przy-

pomnił sobie wszystko, co zaszło wczoraj, usiadł, pomodliwszy się gorąco i rozmyślał co robić?

Zosia niespostrzegłszy wcale, że noc prze-
 spała, bo ludzi było teraz tak pełno w kościele,
 jak wczoraj w czasie ślubu, myślała, że zdrzemnę-
 ła się tylko trochę. Siedzieli tak długo, dopóki
 własny głód nie przypomniał Guciovi, że Zosia
 musi być głodną. Pomyślał teraz, o czem wczoraj
 zapomniiał, że i sam on, nie tylko Zosia, jeść
 musi, inaczej umrze z głodu i Zosię samą zostawi.
 Zdjął ciepły paltocik, wyszedłszy przed
 kościół, a potem zbliżywszy się do sługi kościel-
 nego rzekł:

— Proszę pana, nie chciałby pan kupić cie-
 płego paltocika?

— Ej idź precz, jeżeliś to gdzie skradł, żebym
 cię nie oddał do cyrku!—surowo burknął za-
 krystyjan i wrócił w kościelne korytarze z któ-
 rych wyjrzał na chwilę. Gucio cofnął się w tył
 tak, że o mało nie upadł. Być posądzonym o kra-
 dzież? Nie, tego nie spodziewał się nigdy; wy-
 buchnął płaczem mimo obecności Zosi, która też

natychmiast, chwyciwszy go w objęcia, rzewnie płakać zaczęła, gdy on tymczasem łkając, kładł co prędzej paltocik.

— Nie płacz Zosiu, pójdziemy na śniadanie— rzekł gwałtem powstrzymując łkania, i wzięwszy ją za rączkę wyszedł z pomiędzy ludzi, którzy już się gromadzić koło dwojga płaczących dzieci zaczynali. Drżał teraz, żeby go kto znowu nie posądzał o kradzież. Przed chwilą zwrócił się do zakrystyjana ze swoją prośbą, w przekonaniu, że zakrystyjan mając zapewne dzieci i potrzebując może paltota dla synka, będzie jednak przy kupnie sumienniejszym od człowieka, który wczoraj czapkę kupił, i w tem się Guccio nie mylił. Zakrystyjan był istotnie sumiennym, bo korzystać z podejrzanego kupna nie chciał, choć istotnie przydałoby mu się dla synka, ale też ani spojrzął na sprzedające dziecko i nie zastanowił się nad tem, że może ono jakkolwiek małe, być bez opieki, i sprzedawać istotną własność swą, z konieczności, to jest z głodu. Zakrystyjan miał dużo do czynienia i poszedł do swojej roboty, do obowiąz-

zku. Guccio przerażony i zawstydzony tem, co go tak niespodzianie spotkało, wystraszony tym jakimś cyrkułem i policyjantem, któremi go w Warszawie straszono, już tylko upatrywał handlarza starzyzny, bojąc się zaczepić kogo innego. Wiedział, że dużo na tem straci, ale Zosia była głodną, a on nie umiał poradzić sobie inaczej, w czem nic dziwnego nie było, bo i dorosły człowiek w podobnem położeniu nie zawsze radzić sobie może. Handlarz nadarzył się wkrótce, i ani myślał troszczyć się kto sprzedaje, byle tylko kupno było korzystne; może i on wiedział dobrze tak jak zakrystyjan, że dziewięcioletnie dziecko nie ma prawa nic sprzedawać, ponieważ jeszcze zarabiać nie może, a zatem własności nie posiada. Wiedział, ale mimo to kupił za kilka złotych paltocik porządny, wart kilkanaście rubli i oddalił się z nim co prędzej.

Guccio byłby płakał za pięknym swym paltocem, bo dokładnie wiedział ile ojca kosztował, ale trzeba było co prędzej myśleć o Zosi przeziębłej i głodnej, tak, że aż sina była na twarzyczce.

Posiliwszy dziewczynkę gorącą kawą i bułką, Gucio wychodził z nią z kawiarni, gdy spojrzawszy na siostrę ujrzał ją łzami zalaną, i krzyknął przestraszony:

— Zosiu duszyczko co tobie? Tyś głodna jeszcze? wróćmy się, wypijesz jeszcze szklankę kawy! A możeś ty chora? O Boże, Boże, żebyś ty choć nie zachorowała!

Zosia nie odpowiadała nic, tylko prędko biegła, aż zobaczyła sień ciemniejszą od innych; wbiegła tam, i, wsparłszy się główką o ścianę, gorzko płakać zaczęła, mówiąc głosem od łkań przerywanym:

— Wczoraj sprzedałeś czapeczkę, a dziś pal-tocik, i nie chciałeś powiedzieć dla czego; a ja teraz wiem, bo płaciłeś za kawę dla mnie temi samemi pieniędzmi, które dostałeś od handlarza, a sam jadłeś tylko suchy chleba kawałek, żebyś mi znowu miał za co mleka albo kawy kupić... zimno ci, głodny jesteś, już wiem, już wszystko wiem...

Tak łkała rzewnie biedna Zosia, pomimo siedmiu latek zmądrzawszy nagle w ciągu kilku dni biedy—w szkole życia. Gucio sam nie wiedział już jak ją pocieszać, gdy wtem zrobił się wielki halas, śmiech, tupotanie i mnóstwo małych panienek zbiegło z piętra po schodach do sieni, w której płakało dwoje dzieci. Zosia skryła się tutaj, aby ją ludzie płaczącą nie ujrzeli, radaby się była teraz pod ziemię schować w obec tyłu dziewczątek różnego wieku. Prędko otarłszy oczy, całą siłą starała się powstrzymać od płaczu, gdy panienki otoczyły ich i pytały jedna przez drugą:

— Co to? Co? Kawalerowi porwał wiatr czapkę? A może jeszcze da się pochwycić?

— Oho, już przepadła... ale czy to tu jest szkoła żeńska? czy panienki jesteście uczennicami ze szkoły pani... pani...—zaczął Gucio, i jękał się, nie wiedząc jak nazwać tę panią: myśl jakaś niewyraźna zabłysła mu na widok tych panienek, ale nie umiał jej jakoś wypowiedzieć.

— Tak tak! tu właśnie jest wyższy naukowy zakład pani Ikskiej, dla panien!...—zawołała ta i owa panienka z pewną dumą.

— A nie mógłbym ja widzieć się z panią Ikską?—żywo zagadnął.

— Owszem! Czemu nie! Właśnie teraz ma swobodną chwilę,—mówiły dziewczynki, a jedna dodała:

— Proszę za mną, ja zaprowadzę!—i pobiegła na schody, jak mała kotka, a Guccio, mocno zajęty tem co mu na myśl przyszło, podążył za nią, prowadząc Zosię, zdziwioną tak bardzo, że aż płakać przestała zupełnie. Za chwilę stanęli przed panią średniego wieku, która, obrzuciwszy ich badawczem spojrzeniem, spytała:

— Czego chcecie, dzieci?—A Guccio odpowiedział jednym tchem:

— Proszę pani, my jesteśmy dzieci urzędnika spadłego z etatu; jechaliśmy z rodzicami do Kielc, lecz musieliśmy rozstać się z rodzicami i zabłąkaliśmy się przypadkiem do Warszawy; ja zobaczyłem, że tu jest szkoła dla panienek

i przychodzę prosić pani, abyś była łaskawą przyjąć do swej szkoły moją siostrę, Zosię. Pewny jestem, że jeżeli zdołamy odnaleźć rodziców, to oni pani z serdeczną wdzięcznością zwrócą należność za wychowywanie Zosi, a jeżeli ich nie odnajdę, to ja sam zwrócę pani należność, gdy się dorobię!..

Zamiast odpowiedzi, przełożona pensyi popatrzyła długo i uważnie na dzieci:

— Gdzieżes to podział czapeczkę, chłopczyku?—spytała nagle.

— Sprzedał ją wczoraj handlarzowi, a dzisiaj paltocik, żeby dla mnie jeść kupić!—szepnęła mimowoli Zosia i zagryzła usta do krwi, żeby się w głos znowu nie rozplakać, bo i sama poczuła, że niepotrzebnie się odezwała, i Gucio spojrział surowo na siostrę.

— No — rzecze przełożona — może ja i zrobię to czego żądasz, mój chłopczyku... jak się nazywasz?

— Gustaw Wojczyński.

— Ale mój Guciu — ciągnęła dalej — pojmujesz, że ja muszę mieć pewność, że nie stracę,

a zatem jeżeli zawrę umowę, to z tobą samym, gdyż nie wiem, czy rodzice twoi się odnajdą; namyśl się więc nad tem. Żebyś zaś miał czas do namysłu, i żebym ja mogła poznać, jakim jest dzieckiem twoja Zosia, zanim ją przyjmę, jako uczennicę pomiędzy dobrze wychowane panienki, pójdźcie ze mną na obiad, bo oto dzwonią i ja nie mam już teraz ani chwili czasu. Proszę was zatem moje dzieci, pójdźcie.

Wzięła Zosię za rączkę i poszła naprzód, a Guccio poszedł za niemi. Przechodząc przez przedpokój skinęła na służącą, która w mgnieniu oka zdjęła Zosi szubkę i kapelusz i powiesiła je wśród wielu innych.

W chwilę później dzieci zasiadły do długiego stołu wśród mnóstwa panienek, do których rzekła przełożona, wchodząc z małym rodzeństwem:

— Moje panny, słyszycie często o nieszczęściach, dotyczących nagle całe rodziny, czytacie o tem, i może nieraz przesadzonemi wam się zdają opowiadania o takich nieszczęśliwych ludziach, niewinnych, a cierpiących. Otóż widzicie teraz

z nich dwoje, Gucia i Zosię Wojczyńskich; przyjmijcież ich bratniem sercem, tem bardziej, że Zosia może będzie waszą koleżanką, jeżeli umówię się co do warunków z jej bratem.

Dzieci usiadły na wskazanych miejscach i jadły co im podano, odpowiadając na mnóstwo pytań, które im ze wszystkich stron zadawano. Tak opowiedziały o sobie wszystko, co same wiedziały.

— A cóż ty sam z sobą zrobić myślisz, Guciu?—spytała przełożona, w końcu.

— Nie wiem, proszę pani, ale będę się starał i szukał pracy, choćbym miał iść w służbę, tylko że do służby chyba może za mały jestem?...— odpowiedział patrząc pytająco w jej oczy.

— Jak do jakiej—odparła—widziałam takich jak ty chłopców usługujących w cukierniach, a tacy z czasem niekiedy na cukierników wychodzą.

Gucio żywo spojrział w oczy mówiącej i nagle zamilkł, a wtem wstano od stołu. Dzieci zachowywały się przy obiedzie i podziękowały za nie-

go tak, jak były u rodziców przyzwyczajone. Teraz dzwonek się ozwał i przełożona rzekła:

— Mój Guciu, nie mam teraz ani chwili czasu, Zosia niech tu zostanie tymczasem, gdy będę miała czas wolny, być może, że zawrzemy z sobą umowę, bo istotnie jedno dziecko więcej pomiędzy pięćdziesięcioma innymi mało znaczy, ale ja potrzebuję wiedzieć, co to jest za dziecko, i chcę mieć pewność, że ty mi kosztą kiedyś wrócisz. Otóż co do ciebie, to dopóki sobie jakiej pracy nie wyszukasz, proszę cię abyś tu jadał, i sypiał u mojego syna, który tu mieszka na trzecim piętrze w tym samym, co ja, domu.

Pomyślę też, czy nie uda mi się jakiej pracy dla ciebie u moich znajomych wynaleźć, ale nie zaręczam czy ją znajdę. Wszystko to zobaczymy później; teraz muszę spieszyć do moich obowiązków.

Gucio bardzo ucieszony podziękował serdecznie, i pani Ikska odeszła; pożegnał Zosię, ukłonił się innym obecnym, powiedział, że pójdzie starać się o pracę i pobiegł prosto, jak strzała do

najbliższej cukierni, pytając czyby go tam nie przyjęto na chłopca do usług. Niestety, ten do kogo się zwrócił, jako do najstarszego ze stojących za kontuarem, nie był to sam właściciel, tylko młody jego pomocnik, który sam nie dawno jeszcze był chłopakiem do usług swawolnym i krnąbrnym, i przeto, jak zwykle ludzie, sądził wszystkich podług siebie, obrzucił więc okiem chłopczykę i burknął ostro:

— Gdzieś czapkę podział, łobuzie?...— Na te słowa kilku gości czytających gazety w cukierni, spojrzano na złajanego. Guccio zaczerwienił się jak burak, wszystka krew uderzyła mu do głowy na brzydki wyraz, który w domu rodziców jego nie był wymawiany; chłopczyka zawrócił się i wyszedł powoli, bo pociemniało mu w oczach od niezasłużonej zniewagi.

Szedł chwilę wzruszony i zasmucony taki, że myśli nawet zebrać nie mógł, aż powoli zaczął sam sobie perswadować, że mały chłopiec w lekkiej kurteczce i z gołą głową, biegający po ulicach i cukierniach w zimny i dżdżysty dzień jesienny,

musi istotnie dziwnie wyglądać. Obejrzał się, i spostrzegłszy jakiś sklepik z czapkami, wszedł doń i po długim targu kupił starą, nędzną czapczynę, za daleko wyższą cenę niż ta, za którą wczoraj sprzedał śliczną swoją nową czapeczkę.

Z ciężkiem westchnieniem i z nieopisanym wstrętem, ze łzami w oczach, włożył ten brudny nabytek na głowę i poszedł do innej cukierni, z tym samym, co do pierwszej, interesem. Był w trzech, i w każdej z małą odmianą powiedział mu:

— Idź precz!... nie potrzeba.—W czwartej trafiło się, że znowu nie było pana samego w cukierni i chłopaki, nieprzyjaźni przybyszowi, który mógł którego z nich miejsca pozbawić, zaczęli znęcać się nad nim: jeden szturchnął go niby nie chcący, drugi, przebiegając koło niego ze szklanką na tacce, wylał mu trochę zimnej wody za kołnierz, przyczem, z pośpiechu opuściwszy szklankę, zaczął jeszcze krzyczeć, że to Gucio mu ją wytrącił. Subjekt porwał Gucia za kark, wyszturchnął i wyrzucił za drzwi, na ulicę, gdzie

przechodzący kiwając głowami i patrząc na wypchniętego mówili:

— Patrzcie, taki mały dzieciak i dosyć porządnie ubrany, choć letnio jakoś, a już go ludzie za drzwi wyrzucają, jak kota... cóż to będzie później z takiego chłopca... musiał on coś zbroić. — Gucio, łzami zalany na taką niesprawiedliwość ludzką, wbiegł w najpierwsze podwórze, aby ludziom zejść z oczu, i długo gorzko płakał, przytuliwszy się do kąta, aż wyperswadował sam sobie, że nie należy mieć żalu do ludzi, którzy sami nie wiedzą, że są niesprawiedliwi; otarł oczy i poszedł dalej szukać miejsca w cukierniach. W jednej nareszcie cukiernik rzekł:

— Dobrze, nie mam teraz czasu cię słuchać, przyjdź jutro rano z kim starszym, to cię może przyjmę. Słyszysz Wit!—dodał, zwracając się do jednego z chłopców swoich—możesz nie pokazywać mi się więcej na oczy, niegodziwcze, oto jest już chłopiec na twoje miejsce.

Było to już wieczorem. Gucio wyszedł z cukierni i przechodził koło blizkiej bramy, rozmy-

ślając, czyby nie można prosić dobrej przełożonej szkoły, aby rozmówiła się o niego z cukiernikiem, gdy wtem z bramy wypadł Wit z drugim dużym chłopakiem, wciągnęli Gucia w mgnieniu oka do sieni, zanim zrozumiał co się z nim dzieje, i, bijąc pięściami, co wlaźło, mówili:

— A masz, a masz, żebyś ludziom chleba nie próbował drugi raz wydzierać, a masz... a jakbyś śmiał jeszcze się tu pokazać, to cię na śmierć ubijemy. Ani się waż przychodzić tu więcej.

— Muszę przyjść, muszę, bo i mnie chleba też potrzeba! Muszę!—Krzyczał Gucio, broniąc się ile mu sił starczyło, napróżno; starsi chłopcy nie krzyczeli, tylko bili. Wreszcie rozległ się donośny głos:

— Ratujcie! tu dziecko zabijają! hej stójkowy!—W jednej chwili dwaj napastnicy puścili Gucia i skoczyli w podwórze, ale tam właśnie stał, wchodząc w bramę z podwórza ten, kto krzyknął, a teraz uciekających łotrów pochwycił, jednego za kark, drugiego za połę. Chcieli się wyrwać i ów, który był przychwycony za połę,

rzucił się z pięściami na przytrzymującego, ale ten ostatni był nieładą przeciwnikiem: jednym pchnięciem nogi przewrócił dużego chłopaka na ziemię, a poły jego nie puścił. Tymczasem ludzie wpadli z ulicy, sprowadzili stójkowego, a ten, nie tylko dwóch napastników, ale i pobitego aż do krwi Gucia, zabrał do cyrkułu.

Tak nareszcie, trzęsąc się ze strachu, biedny Gucio przestąpił próg tego straszego „cyrkułu”, którym go, odkąd stanął w Warszawie, wszyscy straszili. Było już ciemno zupełnie, gdy wepchnięto go do pustej prawie izby i zamknięto; trochę później przyniesiono jakieś jedzenie w miseczce i znowu drzwi zamknięto. Nawet ktoś daleko starszy mógł był w takim położeniu umrzeć z rozpacz i wstydu, że go jak ostatniego włóczęgę uwięziono, zabrawszy w nocy z ulicy. Wreszcie i taka długa noc jesienna, samotnie przy świstach dzikiego wichru przepędzona w ciemnej, nieznannej izbie, mogła była starsze nawet od Gucia dziecko rozumu pozbawić. Szczęściem, biedny chłopczyzna potłuczony choć nie niebezpiecznie,

ale boleśnie, był przytem długą wędrówką swą po cukierniach tak zmordowany, że ledwo skuliwszy się na szerokiej ławie, nie miał czasu popłakać nad swem nieszczęściem, lecz zasnął, nietknąwszy postawionego przed nim jedzenia.

IV.

U pana Pawła Kociaka.

Nazajutrz dzień już dawno był jasny, gdy Gucia zbudzono i zaprowadzono do innej dużej izby, gdzie było dużo ludzi, a między nimi stali i owi dwaj chłopcy, którzy wczoraj bili chłopczykę. Jeden z obecnych, ubrany w mundur, różne zadawał pytania i owym chłopcom i Guciovi i innym ludziom, co wszystko razem plątało się w umyśle Gucia tak, że nic z tego wszystkiego nie rozumiejąc, odpowiadał tylko szczerze na każde do siebie zwrócone pytanie, nie wiedząc o co chodzi właściwie. Nareszcie pojął, że starszy z dwóch chłopców już coś innego dawniej musiał zbroić, bo go łajano, przypominano mu coś i wkoń-

cu poprowadzono gdzieś dalej wraz z towarzyszem. Na Gucia tymczasem wszyscy ludzie ciekawie patrzyli, gdy odpowiadał na różne pytania, a to gdzie jego rodzice mieszkają? Jak on się nazywa? i t. d. Jakaś kobieta ucałowała go płacząc, wtem ktoś powiedział:

— Zaprowadzić chłopca do Dobroczynności.

— Nie! Na litosć boską nie prowadźcie mię tam, ja nie chcę dobroczynności, ja chcę pracować, ja Zosią opiekować się muszę!—zawołał na te słowa chłopczyzna, wybuchając płaczem, i upadł na kolana w pośrodku izby, składając ręce. Jakiś pan, przechodząc koło niego, położył mu na złożonych rękach rubla i wyszedł.

— Ja dziękuję, ja nie chcę, ja nie żebrak!—krzyknął Gucio, zrzucając ze wstrętem papierek z rąk, jakby je co sparzyło.

— Ot, co tam gadać—ozwał się nagle jakiś gruby głos—jeżeli wola, to ja proszę wielmożnego pana komisarza, wezmę tego chłopca za swego, bo właśnie jedynaczek nam umarł i kobieta

moja zabija się z żalu po dziecku; może się do tego przyzwyczai?...

— A jeżeli rodzice się upomną?

— Toć go oddam.

— No, co wolisz mały, czy iść do dobroczynności, czy do stróża?—zapytano,—u stróża będziesz pracował.

Gucio się jeszcze bardziej rozplakał, ale odpowiedział:

— Wolę pracować u stróża, przecież może mię rodzice odnajdą.—

— Aha... jeżeli sami będą przy życiu...—mruknął zcicha stróż, tęgi, dostatnio ubrany mężczyzna. Zaczęto coś pisać, zadając znów różne pytania stróżowi, przyczem Guccio dowiedział się, że jego nowy opiekun nazywa się Paweł Kociak. Potem Paweł Kociak wziął Guccia za rękę, pokłonił się, i wyszli oba na ulicę Warszawy, gdzie Guccio natychmiast spostrzegł zegar w oknie zegarmistrza:

— O Boże—zawołał—oto trzecia godzina po południu, a ja miałem wczoraj na noc zostać

u syna tej pani... i ona miała mi pracę wyszukać!
Trzeba tam iść co prędzej!

— U jakiej pani?

— Tej, u której tymczasem jest Zosia, tej która ma wyższą szkołę żeńską, pani Ikska! Pozwoliła mi przyjść na noc, a ja nie mogłem przyjść!

— A na której ulicy i pod którym numerem jest ta szkoła?

— Na której ulicy?.. pod którym numerem?
— powtórzył Guccio roztwierając szerzej oczy, a trochę i usta z przelęknienia. Błądząc po Warszawie od trzech dni, wiedział już coś o nazwach ulic i o numerach, ale wychowany w małym miasteczku, zapomniał o numerach na razie, wychodząc od pani Ikskiej, tak samo jak i o nazwie ulicy.

— Nie wiesz ulicy i numeru? Toś głupi mój chłopcze—rzekł po stróżowsku nowy opiekun.—W Warszawie szkół jest bez liku; mimo to jednakże, będzie można dowiedzieć się adresu w biurze adresowem, ale dopiero jutro, bo teraz biuro zamknięte.

— Ależ ja tam trafię sam!

— Trafisz? No spróbuj, w którąż stronę pójść trzeba?—spytał stróż i stanął w miejscu. Gucio spojrzał na około siebie, i doznał coś podobnego do zawrotu głowy. Wczoraj, dopóki sam szedł ulicami, być może, iż trafiłby wszędzie, gdzie był już wprzód, gdyż różne niezwykle dla niego widoki: skwery, szyldy dziwne, wystawy i cukiernie, do których wchodził, zarówno jak kościół, w którym noc przepędził, wbijały mu się mimo wiedzy w świeżą pamięć; ale gdy szybko i już po ciemku zaprowadzono go do cyrkułu, a potem noc tam przepędzona i wzruszenia całodzienne zatarły świeżość wrażeń z dnia minionego. Gucio, wyszedłszy teraz na ulicę, nie wiedział już zupełnie gdzie się znajduje.

— Ha, ha, ha!..—zaśmiał się pan Paweł Kociak z jego kłopotu,—a widzisz chłopcze, żeś głupi; nasza Warszawa to nie miescina ladajaka, ho ho!..

— Proszę, przejdźmy tylko w tę ulicę kawałek na prawo, może ja też sobie przypomnę...—prosił Gucio.

Pani Kociakowa.

W suterynie, w izbie o sporem mimo to oknie, dosyć widnej i, z pozoru przynajmniej, bardzo czystej, pani Kociakowa, tęga i krzepka kobieta, gotowała obiad przy kominie, gdy wszedł pan Kociak, wiodąc Gucia za rękę i przemówił do żony z przymileniem:

— Kobieto!.. patrzajno, co to nam Pan Bóg dał za naszego jedynaczka... to sierota zabłąkany; wychowamy go sobie i będziemy mieli jak własnego synka.

Ale na te słowa męża, pani Kociakowa chwyciła wielką łyżkę od mieszania w garnkach i wygrażając nią, zaczęła najokropniej wymyślać na męża, że się włóczy, nie wiedzieć gdzie i przybłądy jej do żywienia sprowadza, i na Gucia, że jest próżniak, darmozjad, nic dobrego, i t. d.

Chłopczyna osłupiał; w życiu swoim nie widział i nie słyszał nic podobnego. Jeżeli już, idąc tu, dziwił się, słysząc wyraz „głupis’”, daleko wię-

cej razy, niż w całym poprzednim życiu wyraz ten mógł mu obić się o uszy, choć nigdy nie był do niego samego zwrócony, to teraz zdziwił się jeszcze bardziej, słysząc cały potok gniewnych i nieprzyzwoitych wyrazów. Wielu z nich nawet nie zrozumiał, tylko się domyślał, że muszą być ubliżającymi, kiedy z takich gniewnych ust wychodzą.

Na to wszystko Kociak nie odpowiedział ani słowa, tylko zawrócił się i wyszedł z izby, wprowadzając Gucia po schodach na podwórze i do bramy, gdzie, otworzywszy w kącie drzwi małe, wszedł do ciemnej komórki w połowie zasłanej dużym siennikiem, rzucił się nań jak długi, przyciągając Gucia do siebie, i rzekł:

— To nic, nie kłopotz się tem mój chłopcze, że moja kobieta gniewa się, bo to widzisz, jest z żalu za naszym jedynaczkiem, i dla tego, że za długo się zatrzymałem w mieście, a obiad się może przegotował, więc ją gniew ogarnął, bo taka już jest gniewliwa. Ale jej to zaraz przejdzie, da nam smaczny obiad, ciebie polubi, bo

dobra z niej jest kobieta. Ona ci będzie szyła i prała, ja ci sprawię piękny kozuch, zimą będziesz mi pomagał lód wyrębywać na ulicy i zgarniać, a latem polewać ulicę i zamiatać, a kobiecie będziesz pomagał wodę nosić, kartofle skrobać i co tam wypadnie, jak to w domu. I tak sobie będziesz przy nas żył, a może i do szkoły w niedzielę, choć raz w tydzień, zmożę się, żeby posyłać cię, abys się czytać trochę nauczył, a potem, gdy wyrośniesz, sam stróżem zostaniesz, i my starzy będziemy przy tobie, gdy się ożenisz, tak jak ty teraz będziesz przy nas. Bardzo cię wielkie szczęście spotyka, mój chłopcze; wierz mi, niema w terażniejszych czasach, jak stróżem być w jakim ludnym domu, bo dziesiątki ze wszystkich stron za każde drzwi otworzenie w nocy lecą ci do rąk, i nie jeden mądry i uczony pan mniej ma dzisiaj zarobku, niż stróż porządny, a ja tobie będę ojcem, a kobieta moja matką. Tak mówił Paweł Kociak, odpoczywając w komórcie, która stanowiła niejako drugie jego mie-

szkanie i gdzie sypiał dlatego, żeby w każdej chwili być w bramie obecnym.

Gucio, siedząc na sienniku skurczony, słuchał gadaniny tej milcząco, a wszystka krew w nim się na nią burzyła. Po raz pierwszy w życiu w tej chwili dopiero zrozumiał on to, co bardzo często dawniej słyszał o dobrem wychowaniu i jego potrzebie, i o ludziach bez wychowania. Teraz dopiero, porównywając obejście własnych rodziców z obejściem państwa Kociaków, poznał, że nie podobieństwem mu będzie wytrzymać, choćby tylko czas niejaki, w towarzystwie tych ludzi uczciwych może, ale mimo to nieznośnych, przez ciągłe używanie przykrych wyrazów, przez poddawanie się uniesieniom gniewu, a zapewne i wielu innym niemiłym zwyczajom. Guccio przyrzekł sobie w tej chwili w głębi duszy, że, co bądź go czeka w życiu, będzie zawsze starał się zachować dobre zasady, jakie rodzice w niego wpajali, i stać się z czasem takim, jakimi byli ci jego rodzice właści.

rynsztoki przy świeżo padającym deszczu a Pawłowa zabierała się do prania, Guccio zcicha i nie śmiało przypomniął o Zosi i o pani Ikskiej.

— A prawda—rzekł Paweł Kociak—słuchaj Magduś, trzeba będzie iść którego dnia do adresowego biura, a potem do tej pani dowiedzieć się o tamto dziecko, żeby nasz nie tęsknił.

— Dobrze, pójdę którego dnia, jak mi czasu zbędzie—odparła kładąc bieliznę w baliję.

— Ależ tam się dzisiaj iść miało—zawołał Guccio przerażony.

— Dzisiaj nie, bo widzisz, że czasu nie ma—odpowiedziano—jutro zaś będzie niedziela i biuro zamknięte, więc także się nie pójdzie; w poniedziałek zamówiona jestem do prania do pani gospodyni, a we wtorek... może się pójdzie, jeżeli co niespodzianego nie zajdzie.

— Ale pan, panie najdroższy? pan pójdź ze mną albo mi pozwól iść samemu!—zawołał Guccio chwytając wychodzącego Pawła za rękę.

— Głupiś chłopcze—odpowiedział klepiąc go po główce—dzisiaj jest sobota, a więc ja muszę iść⁴

froterować pokoje u państwa gospodarzów, dywany trzepać, zwyczajnie jak co sobota, a tymczasem znów biuro zamkną. Czekał, jak będzie czas, to się pójdzie, a sam nie chodź, bobym ci tak skórę kijem wygarbował, jak ci nikt jej może jeszcze, ani rodzony tamten ojciec nie wygarbował w życiu.

To rzekłszy, wyszedł z izby pan Kociak, a pani Kociakowa piorąc, jednocześnie rozpoczęła dawać Guciovi mnóstwo nauk moralnych, łajając go za niecierpliwość, a gadając bezustanku i bez końca. Uszczęśliwiona była, że ma przecież słuchacza, ona, która straciwszy synka, nie miała do kogo ust otworzyć, jak sama się skarżyła, tak, że czasami aż kota albo psa wpuszczała do izby i gadała do nich w braku kogo lepszego.

Gucio, rzuciwszy się w kąć na krzesło, płakał, jak szalony, łamiąc ręce i biorąc się niemi za głowę, która pękać się zdawała od ciężkiego płaczu. Płakał, ale nie krzyczał wrzaskliwie, jak to zwykły czynić dzieci, wychowañcy podwórka i bramy, które wrzeszczą częstokroć płaczliwie z nudów

i ze swawoli po prostu, albo pobiwszy się między sobą, gdy tymczasem Guccio płakał z ciężkiego bólu duszy. To też pani Kociakowa długo nie wiedziała nawet, że on płacze i gawędziła o Pawle i o Gawle, aż przypadkiem, spojrzawszy na małego chłopczykę, przestała gadać, pokiwała głową, nasmarowała masłem duży kawał chleba i wetknąwszy go w rękę chłopca, rzekła:

— Idź teraz rozerwij się trochę na podwórzu z innemi dziećmi, słyszysz, jak się tam bawią? A potem przyjdiesz z tatem do stancyi, i mama da wam obiad,.. no idź.— Guccio poszedł, usiadł na kamieniu dużym, tuż przy bramie na ulicy i rozmyślał, któredyby ztąd iść do Zosi?.. Siedział tak długo, gdy ujrzał chłopaka małego, który wbiegłszy do domu z pękiem gazet pod pachą rozdał ich część po różnych lokatorach i biegł znów na ulicę, ale w progu bramy zatrzymał się, spoglądając na numer jeden gazety, gdzie było coś ołówkiem dopisane i na dom, z którego wyszedł:

— Nie sprowadziła się tu w tych dniach pani Głuska?—zapytał, spoglądając na Gucia.— Nie mieszka tu pani Głuska?

— Nie wiem; i jabym chciał wiedzieć gdzie mieszka pani Ikska, a także nie wiem,—szepnął do siebie zrozpaczony Gucio.

— Nie wiesz?—zapytał chłopak, patrząc na zapłakanego—ja się o moją spytam i dowiem w redakcyi gdzie mi pewno fałszywy adres napisali, a twoja na której mieszka ulicy?

— To też to właśnie że nie wiem, zapomniałem spojrzeć na napis!..—westchnął Gucio ze łzami.

— A nie wiesz, jak ta ulica wygląda? Czy szeroka? Czy wązka? Czy nie ma na niej jakiego skweru? Albo jakiego cudaka w którym oknie?—pytał przyjaźnie roznosiciel pisma. Gucio się zastanowił i smutno głową pokiwał:

— Nie,—rzekł—tylko w tem miejscu, gdzie ulica z wązkiej szeroką się staje, siedzi na środku jakiś ktoś wielki z szarego kamienia na wywyż-

szeniu kamiennem, jest to jakiś pomnik, ale nie wiem czyj...

— Eh, to Kopernik!—krzyknął roznosiciel— a więc ulica której szukasz jest Nowy-świat, a może Krakowskie-przedmieście; pójdź ze mną, to polecimy tam natychmiast, tylko po drodze gazety rozdawać będę, bo mi tam iść wypada.

Gucioskoczył jak stał i pobiegli. W pół godziny ujrzał istotnie Kopernika, a stanąwszy tam i rozpatrzywszy się dobrze, poznał z łatwością dom, w którym mieszkała ta, której szukał.

— A widzisz, jakeśmy znaleźli i bez biura adresowego,— rzekł roznosiciel, nie zły jakiś chłopczek, jak widać,—idźże teraz za twojemi interesami, ale przyjdź tu jutro o tej samej porze i powiedz mi, co dalej robić zamysłasz.

Chłopcy zdążyli przez drogę opowiedzieć sobie wczesne swoje kłopoty, bo mały Antoś miał matkę wdowę, której pracą do życia z dziatwą młodszą pomagał; poprzyjaźnili się prawie. Guccio obiecał przyjść jutro, podziękował i pobiegł do pani Ikskiej. Trafił na godzinę lekcyi, nie mógł więc

natychmiast widzieć się z samą panią, tylko służąca poprosiła go jakoś półgębkiem, żeby czekał w przedpokoju, a potem z pół cichej rozmowy jej z lokajem, który wszedłszy spytał jej „co to za chłopiec tu siedzi?” Guccio dowiedział się, że „to jest ów chłopiec, który onegdaj zjawił się w domu z tą dziewczynką, która w domu została, a chłopiec nie pokazał się więcej, a dziewczynka dostała strasznej gorączki i oddaną została do szpitala.“

— Co, co? — krzyknął Guccio, przyskakując do rozmawiającej służby — Zosia? gdzie jest Zosia? Proszę mię do Zosi zaprowadzić. Gdzie Zosia?

I płacząc, szlochając, prosząc, prawie od rozumu odchodził, aż zniecierpliwiona służba zagroziła mu, że go przemocą na ulicę wyniesie, jeżeli nie będzie czekał spokojnie, aż sama pani po lekcyi przyjdzie do niego.

— Przyjdzie z Zosią, bo Zosia jest z panią między innymi panienkami, myśmy nie o Zosi mówili, — zaręczała kilkakrotnie służąca, aby uspokoić chłopca i uniknąć hałasu.

Zamilkł tedy chłopczyna i siedział blady, drżąc całym ciałem, czekając ukazania się owej pani i perswadując sam sobie, że nie mogła być tak złą, aby uczyniła to, czego się tak przeląkł, usłyszawszy rozmowę służących.

Przyszła nareszcie pani Ikska, ale bez Zosi, i Gucio, własnym uszom nie wierząc, dowiedział się jednak po różnych omówieniach i pocieszeniach, że Zosia istotnie ciężko zachorowała i do szpitalika dziecinnego w pobliżu, odwiezioną została.

— O Boże, co pani zrobiła! Jak mogła pani tak okrutnie postąpić, krzyknął zanosząc się z rozpaczego płaczu biedny chłopiec.—Gdzie ona jest, gdzie Zosia? niechże i ja umrę kiedy ona umiera, bo ojciec mnie kazał nad nią czuwać, a ja nie umiałem!—

Pomimo że pani Ikska zdawała się nie mieć serca, jednak łzy jej w oczach stanęły wobec tej rozpaczyny i rzekła, zabierając się do wyjścia z domu:

— Pójdź, moje dziecko, pójdziemy zaraz do Zosi, bo mam ją w opiece i płacę za nią, aby miała większe wygody, ale oddać ją z domu musiałam, bo obawiałam się jakiejś choroby, może zaraźliwej, którą nieznanie mi dziecko mogło wnieść pomiędzy sto innych dzieci u mnie, domowych i przychodnich. Trudno, mój kochany, każda prawie z moich panienek ma także braci-szka, któryby rozpaczał za nią, gdyby zachorowała, tak jak ty za swoją siostrą rozpaczasz. Musiałam być ostrożną tem bardziej, że was nie znam i nie wiem, czy Zosia sama nie zaraziła się w drodze lub gdzieindziej jaką chorobą? Gdyby Zosia była u mnie dawno, gdybym ja ją wychowywała, tak jak inne moje panienki, wtedy nie oddałabym jej z domu z pewnością.

Tak mówiąc, doszła pani Ikska z Guciem do szpitalika dziecinnego i wkrótce dowiedzieli się z ust zakonnicy, która wyszła do nich, że Zosia po prostu przeziębila się i przemoczyła, a potem rozgorączkowała, płacząc okropnie za bratem, że obawiano się dla niej zapalenia płuc, ale wcale

nie żadnej zaraźliwej choroby, jak to wszyscy wczoraj sądzili.

Potem zaprowadziła zakonnica przybyłych do Zosi, uprzedziwszy ją tylko, żeby się do brata nie zrywała i leżała spokojnie i grzecznie, bo inaczej pogorszyć może chorobę.

Ze ściśniętem serduszkim przystąpił Gucio do biednej dziewczynki, leżącej w czystym łóżeczku i w ciepłym, wygodnym pokoju, ucałował ostrożnie chorąsi ostrzyczkę, której oczy zaśniały na jego widok, pocieszał ją, obiecał codziennie do niej przychodzić i, wstrzymując łzy, udawał odwagę i dobry humor, aby chorej nie martwić. Bawił tam dopóki mu pozwolono, wreszcie odszedł, sam nie wiedząc teraz, czy ma czuć żal do pani Ikskiej, czy też wdzięczność dla niej; bo cóżby było, gdyby Zosia zachorowała pod jego opieką na ulicy i nie miała natychmiastowego ratunku?.. Gucio zadrżał na tę myśl.

VII.

Przy rąbaniu drzewa.

— Proszę pani, czy jabym nie przydał się do jakiej roboty tu w szpitaliku, dopóki moja siostra jest tutaj?—spytał Gucio zakonnicy, wyszedłszy z sali. Zakonnica popatrzyła na niego:

— Nie okaleczysz się, jak będziesz miał z nożem i z małą siekierką do czynienia?—spytała.

— Z pewnością nie!—zawołał. Zaprowadziła go do szopy, gdzie duży sługa małą siekierką i nożem łupał drzewo polankowe na cienkie patyczki do rozpałki węgla, kazała mu iść do innej roboty, a Guciovi łupać drewna kazała:

— O południu co dzień i rano, i teraz w wieczór gdy zadzwonią, przyjdiesz do tej dużej sali przez którą przechodziliśmy teraz. Będiesz tam jadł z innymi—powiedziała—możesz też i tam drewna łupać przy świetle, bo dzień teraz krótki, i układać je porządnie za wielkim piecem, jeżeli potrafisz to robić bez hałasu i nie zaśmiecając sali; ale musisz wprzód zanieść tam wiązki drzewa, bo ich tam nie ma.

Zakonnica odeszła, a Guccio zastanowiwszy się i widząc, że się zmierzcha, poprzerałbywał tylko grubsze drewna na pół siekierką, przyczem musiało być trochę hałasu, choć wiązkowe drewna wszystkie są drobne, jak wiadomo; potem pozanościł tak przygotowane drzewo do wskazanej sali, gdzie nikogo wtedy nie było, układając je za piecem. Tak wracał kilka razy, biorąc brzemiona na plecy jak prawdziwy robotnik, związawszy sznurkiem, którego kawałek miał w kieszeni od kurteczki, jak to zwykle wszystkim chłopcom się zdarza. Nanosiwszy dosyć drzewa, jak sądził, aby roboty na długi wieczór starczyło, popatrzył uważnie na szopę pełną drzewa, i ujrawszy kłódkę u drzwi wiszącą, pomyślał, że ona nie darmo tam wisi. Zamknął szopę, klucz schował do kieszeni, wrócił do widnej i ciepłej sali i siadłszy za piecem, wyjmował z zań po jednym drewnie i łupał nożem na cieńsze, bez żadnego hałasu, tak że tylko trochę trzeszczało, bo się obawiał bardzo aby Zosi, jeżeli usnęła, w tamtej dalszej sali, snu nie przerwać.

Tak przeszło parę tygodni, w czasie których Guccio co dzień widywał się z Zosią, z początku bardzo chorą, potem zwolna coraz zdrowszą. Prócz łupania drewek robił wszystko, co mu kazano, a między innymi przepisywał też na czysto rachunki, które przepisywać kazała mu zakonnica, dowiedziawszy się od Zosi, że nauczyciel chwalił zawsze Guccia za rachunki; przejrzała potem i sprawdziła co napisał i powiedziała przed Zosią, że się aż zdziwiła, nie znalazłszy ani jednego błędu. Napisał też Guccio list do Kociaków przepaszając ich za swą mimowolną prawie ucieczkę.

Pani Ikska przychodziła czasem do Zosi, i Guccio zaraz z początku pomiarkowawszy się, przeprosił ją też serdecznie za żal niesłuszny, jaki miał do niej wprzódy, gdy się dowiedział, że Zosię do szpitalika oddała. Raz, gdy ją znów ujrzał, przyszła mu nowa myśl, i spytał czyby to nie można napisać do Kielc, do stryja Józefa Wojczyńskiego donosząc mu, co się z braterstwem jego i z ich dziećmi stało?

Na to Gucia pytanie, zakonnica i pani Ikska spojrzały wzajem na siebie i smutno pokiwały głowami.

— To odważne dziecko, trzeba mu wszystko powiedzieć—rzekła zakonnica, a pani Ikska powiedziała:

— Masz słuszną rację chłopaczku, że tak zrobić można, i dla tego też zrobiło się tak, prawie natychmiast gdyś się u mnie zjawił; ale odpowiedź przyszła dopiero teraz przed dwoma dniami i to nie od twego stryja, lecz drogą urzędową, i wcale niepomyślna. Dowiedzieliśmy się z niej, że Józef Wojczyński przed ośmnastu dniami nagle sprzedał maleńki swój domek z ogrodem w Kielcach i spiesznie wyjechał ku granicy. Nic więcej o nim nie mogliśmy się dowiedzieć, oprócz że od tych ośmnastu dni już to po raz drugi jest on poszukiwany, domyślamy się więc, że musiał chyba dowiadywać się o niego w waszym interesie komisarz cyrkułowy, do którego przyprowadzono cię wówczas, gdy cię chłopcy złośliwi pobili. Wszystkie te starania są próżne; trzebaby

chyba, aby ktoś, mający dużo czasu i pieniędzy, pojechał robić osobiście poszukiwania na traktach wiodących do Kielc i w Kielcach, a to jest niemożliwe. Tymczasem, gdy Zosia wyzdrowieje ja, ponieważ widzę, że szczerą prawdą jest w waszych słowach, jeżeli chcesz, wezmę Zosię na wychowanie, z warunkiem, że ty mi kosztą wrócisz, gdy się dorobisz. Zanim zaś gdzie się umieścisz, ja albo zakonnica miejsce ci znajdziemy, przychódź do mnie codziennie jadać i sypiać. Ja sama łożyć na ciebie nie jestem w możności; mogłabym tylko wziąć cię po prostu do posyłek i drobnych posług w domu i nawet bardzo przydałbyś mi się na maleńkiego sprytnego takiego pokojowca, ale tego ja nie chcę, gdyż toby ci nic na przyszłość nie zapewniało i byłoby wyzyskiwaniem twego położenia. Zatem musimy poprzestać na poprzednich warunkach. Czy chcesz się zgodzić na taką umowę, czy nie chcesz?

Gucio oczywiście zgodził się, podziękował, i zaraz tegoż dnia, gdy Zosię przewieziono ze szpitalika do szkoły, on, podziękowawszy gorąco

dobrej zakonnicy, a przyrzekłszy Zosi, że do niej przyjdzie dziś jeszcze, pobiegł do posągu Kopernika, i, chodząc zwolna w pobliżu, przyglądał się wszystkim przebiegającym tamtędy roznośicielom gazet. Upatrywał dobrego Antosia, któremu przed paru tygodniami obiecał przybiedz w to miejsce i opowiedzieć więcej o sobie i o Zosi, ale nie mógł tego uczynić, bo zakonnica przykazała nie wychodzić za bramę szpitalika. A oprócz tego, że czuł wdzięczność dla tego chłopca teraz, gdy szkoła życia nauczyła go już cenić wysoko najmniejszą życzliwości ludzkiej oznakę, miał też i interes w tem, aby z Antosiem się zobaczyć. Czekał więc, patrząc pilnie, ale nie długo, bo wnet ujrzał szybko biegnącego znajomego chłopaczka, mało co od siebie starszego, z pękiem gazet pod pachą. Antoś!.. krzyknął na jego widok:

— Jak się masz!

— Jak się masz!—przywitali się chłopcy.—
Cóż się z tobą dzieje? Myślałem, że cię już nie zobaczę. Znalazłeś rodziców? Stryja?

— Gdzie tam, długoby opowiadać, a chciałem cię też spytać...

— Czekaj—no, jeżeli chcesz pogadać, to albo pochódź, albo posiedź gdzie tutaj, ja niedługo wrócę, bo już mam gazet nie wiele, a obowiązek przedewszystkiem.

I pobiegł Antoś dalej, a Guccio czekał, coraz bardziej skłonny do pokochania chłopca, który mówił o obowiązku tak, jakby się u rodziców Guccia wychował.

VIII.

U krawca.

W pół godziny później chłopcy spotkali się znowu, i młodszy opowiedział starszemu wszystko, co go od dwóch tygodni spotkało, a w końcu dodał:

— Otóż koniecznie teraz pragnąłem z tobą się zobaczyć, bo mi mówiłeś, że trochę matce pomagasz, pracując na młodsze rodzeństwo, więc chciałbym wiedzieć jak i co ty robisz, a możebym i ja to samo robić potrafił? Proszę cię,

opowiedz mi to i daj dobrą radę, o którą nie ka-
żdegobym ja prosił, a ciebie proszę, bo zdajesz
mi się lepiej od wielu innych wychowanym.

— Tak—z pewną dumą odrzekł mały rozpo-
siciel pism,—może być, że jestem lepiej od wielu
chłopców wychowanym, gdyż mam matkę, jakiej
podobną ma nie wielu. Sam to przyznasz, je-
żeli zobaczysz ją kiedy. Tymczasem, jeżeli chcesz
odemnie rady, to lepiejby ci było poszukać jej
u tej pani Ikskiej, albo u zakonnicy ze szpitalika,
o których mi mówiłeś, bo co starsi to starsi, a ja
jestem mały. Jabym ci tylko umiał powiedzieć:
roznoś pisma, tak jak ja... Ale ja i ty, to wcale
co innego, bo mnie tylko o to idzie, żeby co dnia
jak najwięcej uczciwie zapracowanych groszy do-
starczyć matce na wyżywienie młodszych dzieci.
Jak wszystko troje podrosną o tyle, że same bę-
dą mogły na własne wyżywienie zarabiać, wtedy
dopiero ja będę mógł myśleć o sobie. A z tobą
jest inaczej, pannę Zosię, twoją siostrę wzięła do
swej szkoły ta pani Ikska i obiecała czekać na
zapłatę, aż ty się grosza dorobisz; to ważna rzecz,

nikt na ciebie dzisiaj jeść nie woła, i dla tego ty dzisiaj możesz pracować z mniejszym na teraz dorobkiem, a za to z większą na przyszłość nadzieją. Za jakie dziesięć lat, gdy ja będę wciąż roznosicielem, a co najwięcej to służącym w drukarni, ty możesz już być czeladnikiem starszym, w jakim porządnem rzemiośle, a wtedy już ci łatwo będzie o pieniądze dla zaspokojenia długu pani Ikskiej, bo właśnie wtedy panna Zosia, jak mi się zdaje, będzie dopiero szkołę kończyła.

— A jak skończy szkołę?—spytał uważnie słuchając Gucio.

— Otóż to, widzisz—odparł Antoś—jak panna Zosia szkołę skończy, toby należało, żebyś ty ją wziął do siebie i utrzymywał jak pannie Zosi przystoi, a tego nie dokażesz, będąc roznosicielem gazet, bo tego zarobku starczy ledwo na wyżywienie na dzisiaj. Dla tego byłoby lepiej, żebyś ty się kogo mądrzejszego poradził i do jakiego dobrego rzemiosła poszedł, bo toby ci lepszą przyszłość zapewnić mogło, choć na razie żadnego nie dałoby zarobku.

Gucio zamyslił się głęboko, wreszcie rzekł:

— Słuchaj Antosiu, powiem ci całą prawdę, oto ja rozumiem słuszną twoją mowę, ale w żaden sposób nie ośmielę się iść do zakonnicy ani do pani Ikskiej po poradę, gdyż wstyd mi jest okropnie nadużywać ich dobroci. Pani Ikska i tak dużo robi, gdy obiecuje czekać na zapłatę za Zosię, a ja jeszcze krzychałem i dokazywałem u niej wtenczas, gdy dowiedziałem się, że ją do szpitalika odesłała. Zakonnica znów, nie dość że mi pozwoliła jeść i spać w szpitaliku przez dwa z okładem tygodnie, ale jeszcze za rachunki, które przepisywałem dała mi i przy sobie włożyć kazała ten oto ciepły paltot, i czapeczkę, mało co gorsze od moich własnych, które sprzedać musiałem...

— Eh wiem, wiem, — Antoś zawołał — zakonnica tego nie kupiła, to zwyczaj jest taki, że zamożniejszych rodziców dzieci oddają zakonnicom swoje ubranie, z którego wyrosły, lub które nie bardzo zużyły, aby je zakonnice innym potrzebującym dzieciom rozdały.

— Mniejsza o to—ze łzami w oczach mówił Gucio—bądź jak bądź, jest to jałmużna, którą ja przyjąłem, ponieważ zimno mi było, ale przysięgłem sobie w duszy, że jak tylko będę mógł, to ją w dwójnasób przez ręce tej samej zakonnicy ubogim dzieciom zwrócę, Zanim to nastąpi wstyd mi jest stawać przed oczy tej zakonnicy, aby nie sądziła, że po nową przychodzę jałmużnę. Dla tego chciałbym koniecznie sam, bez tych pań pomocy, gdzie się umieścić, i dopiero o tem je zawiadomić; ale gdzie?

— Wiesz co, w domu w którym mieszkamy, mieszka też krawiec, wielki pan, bogaty; gdyby cię przyjął do terminu, choćbyś dziesięć lat miał darmo pracować, wygrałbyś w końcu wielki los, gdybyś choć czeladnikiem krawieckim, jeżeli nie majstrem został. Pójdźmy spytać czy cię weźmie

— Pójdźmy,—powiedział Gucio, i poszli.

Bogaty krawiec przystał od razu, potrzebując właśnie chłopaka, bo, nie wiedzieć czemu, chłopcy nie trzymali się w jego zamożnym warsztacie. Gucio tegoż dnia zawiadomił o swem postanowie-

niu Zosię i panią Ikską i na noc wrócił już na mieszkanie do krawca. Pan krawiec obiecał dawać mu konieczne odzienie i żywić go tymczasem, dopóki nie nauczy się Guccio roboty o tyle, że będzie wart jakiej takiej zapłaty.

Pierwsze parę dni przeszło nadspodzianie dobrze, bo Guccio słyszał dużo o utrapieniach małych chłopców po warsztatach rzemieślniczych, gdzie im kazano wodę i drzewo nosić, za panią majstrową z koszykiem na targ chodzić, małe dzieci piastować i niańczyć, jednym słowem wszystko robić, prócz rzeczy dotyczących rzemiosła, którego uczyć się mieli! A otóż nic podobnego nie istniało u krawca i bardzo to Guccio dziwiło i cieszyło zarazem. Kazano mu nawet podrzędny jakiś szew czy obrąbek tu i owdzie szyć, pokazawszy jak się to robi, co było bardzo dobrze i uczciwie, gdyż odrazu uczono chłopca rzemiosła, zamiast marnować czas jego i siły na usługi, do których są służący. Guccio też pracował pilnie, choć z wielkiem swoim zmartwieniem okazał taką niezgrabność do igły, że się aż

sam jej zdziwił, a wszyscy się śmieli. Bo też, co prawda, czuł on nawet jakąś dla igły wrodzoną pogardę i wstręt, nie wiedzieć czemu, i z tego to zapewne powodu robota mu się nie wiodła, jako podejmowana bez zamięłowania. Mimo to powiedział sobie, że musi być krawcem, bo to jest rzemiosło pewne i korzystne, i pracował przez gwałt, usilnie.

— A co to... dziś wtorek, a pan Wacław nie oddał pieniędzy?—rzekł majster zaglądając do wielkiej księgi z rachunkami, drugiego tygodnia od przybycia Gucia, wieczorem.

— A nie,— przyświadczyła czeladź.

— Słuchaj Gustaw—rzekł znowu majster napisawszy coś na kartce i dając mu ją,—jutro z samego rana pójdziesz na ulicę Hożą według tego oto adresu do pana Wacława B, i oddasz mu tę kartkę, w której ja go proszę o zwrot należnych mi stu złotych za zrobiony mu nowy garnitur; tylko idź rano, bo on umyślnie rano zwykł wychodzić, żeby go nigdy upominający się o pieniądze zastać nie mogli, a gdy go zobaczysz

to nie daj się odstraszyć lada gadaniną ani fukaniem, bo on tak zawsze robi, tylko dopominaj się gwałtem i koniecznie, bo on nie odda, dopóki mu się do ostatka nie uprzykszyć; ja robię mu suknie od lat dziesięciu i zawsze takie mam z nim kłopoty, a przecież w końcu choć kapaniną, to odda. Pamiętajże się dopominać koniecznie.

Poselstwo takie było Guciovi tak przykre, że spać w nocy nie mógł, myśląc o jutrzejszej do pana Waclawa wyprawie, ale gorzej jeszcze było, gdy do niego zaszedł. Zadzwońiwszy napróżno kilka razy do wskazanych drzwi, i nie śmiąc dobijać się bardziej, gdyż mieszkaniiec mógł spać jeszcze, mały poseł usiadł na schodach u drzwi i czekał. Po jakiej godzinie drzwi uchylły się, ponieważ pan Waclaw sądził, że ów ktoś co dzwonił, już odszedł, Gucio wsunął się w nie i podał rachunek.

Pan Waclaw w pięknym szlafroku i z drogiem w ustach cygarem, spojrział zdziwiony na to coś małego, co mu niespodzianie zaplątało się w nóg, potem spojrział na kartkę, którą mu

w rękę wsunięto i zrozumiawszy, zapytał spokojnie:

— Czy to ty, mały, dzwoniłeś tu przed godziną?

— Tak, proszę pana. »

— I od owego czasu siedzisz tu pod drzwiami?

— Tak jest.

— To uważasz, radzę ci, nie rób tego drugi raz, jeżeli nie chcesz zejść po schodach daleko prędzej, niż na nie wszedłeś; majstrowi powiedz co z jego rachunkiem zrobiłem—tu skręcił rachunek i zatliwszy go u ognia w piecu zapalił nim cygaro— a sam bierz nogi za pas pókiś cały...

I przy tych słowach, pan Waław bez najmniejszego gniewu na pozór, ale z tak strasznie czarnych oczu spojrzeniem, że Guciovi serce zatrzepotało się w piersiach jak ptak ze strachu, ujął chłopczykę za odzienie na karku, tak zupełnie jak psa niektórzy za skórę na karku ujmują, podniósł go w górę, bo sam był wysoki, niośł tak przez cały pokój i sień i postawiwszy go na

samym brzegu schodów, krzyknął mu tuż nad głową tak okropnym głosem:

Haż go ha!..—że chłopczyna jak zastrzelony padł, i stoczył się po schodach na dół jak kamień.

Szczeńciem schody nie były wcale wysokie i Guccio, więcej wystraszony niż potłuczony oprzytomniał po jakimś czasie, i wróciwszy do swego krawca opowiedział z płaczem co mu się przytrafiło. W warsztacie powstał śmiech i pokazało się, że to był jeden z żartów pana Wacława, zwykłych u niego z chłopcami przychodzącymi po pieniądze.

— Jutro pójdiesz znowu do niego—rzekł pan majster—i tak będziesz codzien chodził, dopóki pieniędzy mi nie przyniesiesz. Mam ja kilku takich panów, którzy różne mają dziwactwa, a mimo to zawsze się wypłacają, więc ich znoszę i robię dla nich po dawnej znajomości.

Ale Guccio szeroko na te słowa oczy otworzył, bo takich żartów pojąć nie mógł, i bez namysłu, zapomniawszy poprzednich swych skru-

pułów, pobiegł do zakonnicy, prosząc ją o radę jak się wydostać od krawca, u którego wiadomo teraz było Gucio, czemu chłopcy wybyć długo nie mogli.

Krawiec ten w istocie nie był wcale tak bogatym, jak się to ubogim zdawało, i dla tego musiał robić odzienie ludziom niezamożnym i niesłownym, którym by pewno robić nie chciał, gdyby był bardziej wziętym i mógł przeto w robocie przebierać. Gucio nie był jeszcze zameldowanym u niego, ani wymeldowanym ze szpitala w którym przeszło dwa tygodnie przebywał, pozostał więc w nim na noc, do krawca więcej nie wrócił, i na tem się krawiectwo skończyło.

IX.

W sklepie.

Nazajutrz rano Gucio stał gotów przy bramie i gdy zakonnica wychodziła i skinęła na niego, poszedł za nią. Weszli do dużego sklepu,

zakonnica, porobiwszy różne zakupy dla chorych w szpitaliku: herbaty, wina, cukru, rzekła do kupca wskazując na Gucia:

— Oto jest chłopczyna, o którym panu mówiłam, dziecko zacnych rodziców, czyta pisane, pisze sam i rachuje nad wiek swój dobrze, ma nawet początki kilku języków, posłuszny jest jakby jaki rozsądny człowiek dorosły. O nierzetelności, o złem w ogóle, poprostu wyobrażenia nawet nie ma, bo jest dobrze wychowany, i dla tego radabym uczciwe miejsce mu znaleźć, w którym prócz utrzymania miałby jaką taką opiekę, gdyż jest bardzo młodym jeszcze.

Gucio, słysząc takie pochwały po raz pierwszy w życiu, oniemiał ze zdziwienia i oczki wytrzeszczył na zakonnicę; ona to zaraz spostrzegła, pogładziła po główce chłopczynę i rzekła:

— Dziwisz się, ponieważ dotąd nie wyobrażałeś sobie, ażeby nieposłusznym lub nierzetelnym być można; nie miałeś wyobrażenia o złem i dobrze ci tak było, gdyż byłeś pod opieką troskliwych rodziców, ale teraz, kiedy będziesz

musiał żyć pomiędzy rozmaicie wychowanymi, czasem złymi nawet chłopcami, trzeba ażebyś wiedział, że złe istnieje, a mimo to dobrym być trzeba. Pamiętaj abyś na całe życie pozostał przy takich zasadach, jakie masz dzisiaj, i nie dał się odwieść od nich, jeżelibyś przypadkiem popadł w złe towarzystwo.

— To ci baba kazanie prawi...—mruknął sobie pod nosem mały chłopak sklepowy, wiążący na boku jakąś paczkę.

— Kazik! a nieśże tę paczkę!—zawołano na niego. Gucio tymczasem wzruszony do łez życzliwością zakonnicy, serdecznie ucałował jej rękę.

— Oho, lizus!—mruknął Kazik, przechodząc koło niego. Kupiec przez ten czas powiedział zakonnicy, że będzie chłopczyńę odziewał i żywił, dopóki nie wyuczy się Gucio o tyle sklepowego zatrudzenia, że będzie zasługiwał na zapłatę. Był to więc tenże sam układ co z krawcem. Gucio od razu pozostał w sklepie na usłu-

gach wszystkich razem i każdego z osobna, kto się tam znajdował:

— Gustaw tu,.. Gustaw tam,.. Gustaw przynieś wino i ser z piwnicy,.. Gustaw zanieś te paczki za tym panem,.. Gustaw dostań tamten słój ze szczytu szafy... Gustaw przynieś mi śniadanie,.. Gustaw idź zmień pieniądze,.. Gustaw podaj, zawiń, weź,..

I tak dalej a dalej wołali wszyscy, i wszyscy posługiwali się nim od samego kupca zacząwszy, a skończywszy na Kaziku. Sklep zaś był duży i kilku w nim było młodszych i starszych subiektów i chłopaków, razem aż dwunastu, podobno. W ciągu dnia jedna tylko była chwila odpoczynku, gdy raz sześciu, a potem znów sześciu, na zmianę, usiedli jeść obiad w jednej izbie za sklepem, a zresztą przez cały dzień było się jak na jarmarku. Odbyt w sklepie był duży i dopiero około jedenastej zawołano:

— Spać!.. — zamknięto sklep, i ktoś krzyknął:

— A weź tam który nowotnego malca za rękę, żeby karku nie skręcił!

— Ja go wezmę!—odkrzyknął Kazik ochoczo.

— Oho!.. toby on już z pewnością kark ze dwa razy skręcił jakbyś ty go poprowadził—zawołało kilka głosów na raz. Któryś ze starszych pochwycił Gucia za rękę i ze śmiechem i hałasem, młodzież, niby wesoła burza jaka, albo stado rżących koników, popędziła cwałem ze sklepu w bramę, a z niej przez długi dziedziniec po jakichś leżących tam belkach i szczapach, przez które przewodnik Gucia w powietrzu go jak kota, to za kark, to za rękę przerzucał, z pewną wszakże dla dziecka względnością. Potem wpadło się do jakiejś wysokiej oficyny w końcu podwórza i pędziło znów w górę, łomocząc obcasami po schodach, jak stado słoni albo mastodonów przedpotowych, wśród głośnych wyrzekań innych mieszkańców oficynki, śpiących już w części. Dopiero u szczytu, na trzecim czy czwartym piętrze domu, wpadli wszyscy hurmem do dużych dwóch izb, w których stało dwanaście żelaznych łóżek, nowych i połamanych, zasłanym najrozmaiciej, bo na jednych nie było nic

prócz słomy, a na innych znalazła się i kołdra i poduszka czasem.

Wpadając tu, już każdy się rozbierał, a niektórzy zaczęli to wcześniej jeszcze i wpadłszy do tej sypialni, więcej niż na pół rozebrani, z odzieżą w ręku, zarzucali ją na kołek, a sami jednocześnie rzuciwszy się na łóżko zasypiali natychmiast prawie. We dwie minuty dwanaście młodych, zdrowych piersi, oddychało głośnym miarowym oddechem w śnie głębokiem. Kawałek stearynowej świeczki dogasał w żelaznym lichtarzu, stojącym w glinianej misce z wodą, a w półcieniu migotliwego tego światła, w pośrodku jednej z dwóch izb, stała mała, biedna istotka, samotna, wśród nocy: to biedaczek Gucio, odurzony, zdziwiony nadzwyczajną chyżością ostatnich wydarzeń, hałasem jaki im towarzyszył, stał, nie wiedząc co począć z sobą.

— Hi hi hi!.. hi hi hi!..--zachichotał złośliwie Kazik, z posłania swego w kącie, przypatrujący się kłopotliwemu położeniu Gucia.

— A co tam?—mruknął wpół przez sen któ-

ryś ze starszych i czujniejszych, i podniósł głowę z poduszki:

— Aha,—domyślił się, popatrzawszy—to Gustaw tam stoi i nie wie gdzie się zdrzemnąć, a Kazik z niego się wyśmiewa,.. czekajcie, zaraz ja tu zrobię należysty porządek...

— Panie Adamie! Aj! aj jaj!.. Panie Adamie, gwałtu!—zakrzyczał Kazik, ale już było za późno. Adam, ten sam podobno który Gucia przez dziedziniec i schody prowadził, wyskoczył z łóżka, schwycił pasek 'od swego ubrania, i kropił nim złośliwego chłopaka Kazika z zamachem, aż świstało w powietrzu,

— Co to? Kazik?.. A lepiej go tam...—mruknął ten i ów wpół przez sen, bo złośliwiec mały umiał każdemu dokuczyć. Adam tymczasem, porzuciwszy nareszcie uciekającego z kąta w kąt i krzyżącego Kazika, wywlókł z za pieca jeszcze jedno powiązane sznurkami łóżko, rozsunał je w mguieniu oka, rzucił na nie kilka słomianek, których gromada w kącie leżała, na słomianki

rzucił sporo siana które miał pod własnym materacem i rzekł:

— Kładź się Gustaw i śpij, bo jutro trzeba rano wstać; a jakby ci tylko Kazik kiedy dokużył, zaraz powiedz mnie...—dokończając tych słów Adam już spał we własnem łóżku, a i Guccio w chwilę później, pomodliwszy się, leżał na swoim, uszczęśliwiony że na jednego złośliwca i dziesięciu obojętnych, znalazł przecież i tu, jednego dobrego i przychylnego sobie człowieka.

— Ach jakie też to szczęście jest mieć przyjaciół, jaki to skarb; nie próżno to starożytni Grecy w takim wielkiem poszanowaniu mieli przyjaźń. Jakimże dobrym i zacnym powinien starać się być każdy człowiek, ażeby zasłużyć sobie na przyjaźń...—tak myślał Guccio, ale niedługo myślał, bo zasnął, gdyż tak jak wszyscy jego towarzysze porządnie był zmęczony, a może i bardziej jeszcze, ponieważ przez cały dzień wszyscy się nim jako najmłodszym posługiwali, nie wyjmując nawet Kazika.

X.

Narady.

Przeszło rok służył Gucio za chłopca sklepowego i dobrze mu było, przy uczciwym panu i dobrym starszym towarzyszku Adamie, mimo bardzo ciężkiej pracy i złośliwych figlów, próżniaka i leniwca Kazika.

Sam kupiec tylko, człowiek jeszcze młody, był co dzień smutniejszy, a starsi subjecki coś sobie na ucho szeptali, aż pewnego dnia sklepu wcale nie otworzono. Stał się jakiś dziwny zamęt; przyszli jacyś panowie z jakiegoś urzędu, a kupiec oprowadzał ich po zamkniętym sklepie i po składzie; i Gucio nie wiedzący co z sobą zrobić bez zwykłych zatrudnień wśród tego chaosu, zasłyszał nareszcie, że kupiec, jego pan, złożył bilans, i prosił o ogłoszenie upadłości...

Gucio wcale nie rozumiał tych wyrazów, tylko przeczuwał, że stało się coś strasznego; aż mu wytłómaczył Adam, że, gdy dla jakiegobądź

nieszczęśliwych okoliczności handel się nie wie-
dzie i kupiec widzi, że rady sobie dłużej nie da,
wtedy, jeżeli jest uczciwym człowiekiem, postę-
puje tak jak ich pan postąpił: to jest, składa do-
wody, że mimo sumiennosci nie może dłużej skle-
pu prowadzić, sprzedaje wszystko co jeszcze po-
siada, płaci co komu jest winien, i wychodzi z ca-
łej sprawy bez grosza częstokroć, ale z czystem
sumieniem i bez łez ludzkich na duszy, bo nie
zarwawszy i niezmarnowawszy niczyjego grosza,
prócz własnego. Inny kupiec nieuczciwy, w ta-
kich razach udaje bogatego do ostatniej chwili
i od ludzi łatwowiernych pożycza pieniądze, wie-
dząc, że ich nie będzie mógł oddać, aż się ludzie
sami prawdy domyślą i gwałtem mu z urzędu
sklep zamkną, i sprzedadzą, ale wtedy wartość
sklepu nie wystarczy już na zapłacenie długów
i taki człowiek zowie się bankrut. Ludzie, którzy
mu pożyczali, płaczą na niego krwawemi łzami,
bo on zabrał ich mienie i zatracił.

Bywają też czasami jeszcze inni występni
i nieszczęśliwi ludzie, kupcy, którzy mając się

wcale dobrze, napożyczają zewsząd pieniędzy, niby to dla rozwinięcia dobrze idącego handlu, i uciekną z niemi, albo udadzą, że im się przypadkiem w sklepie towary spaliły sami je podpaliwszy, i tak urządziwszy udane, podstępne bankructwo, używają potem cudzych zrabowanych w ten sposób i ukrytych pieniędzy.

Słyszając takie Adama opowiadanie o nieuczciwych i występnych kupcach, Guccio tem bardziej kochał i szanował uczciwego swego pana i pozostał przy nim tak jak i Adam do ostatniej chwili, aby zacny człowiek widział przecież choć paru życzliwych ludzi koło siebie w chwili strapienia, gdy wszyscy inni ze sklepowej służby, a najprzód Kazik, rozbiegli się już po świecie.

Potem, kupiec polecił Adama do innego jeszcze większego sklepu, gdzie go chętnie za subiekta przyjęto, i chciał to samo zrobić dla Guccia, ale Guccio podziękował mu serdecznie i powiedział, że inne ma zamiary:

— Gdybym mógł służyć dalej u pana i przy panu Adamie jak dotąd—mówił—tobym służył

i miejscabym nie zmieniał, ale kiedy się tak stało, to może ja czego innego jeszcze poprobuję...

— Probuj — pokręcił głową kupiec — ale wiedz, że niedobrze jest tego i owego się chwytać, lepiej jednego wytrwale pilnować, bo się w tem doświadczenia nabiera. Oto i ja, choć straciłem na sklepie, przecież gdy zacni ludzie, ufając mojej rzetelności, chcą sami pożyczyć mi pieniędzy, założę znowu nie co innego tylko sklep; wprawdzie będzie to nie taki jak tamten, tylko malutki sklepik, w którym sam ze współnikiem jedynie, będę pracował, ale sędzę, że lepiej mi się powodzić będzie niż w dużym, gdyż większe mam teraz doświadczenie.

Ale cóż ty zamysłasz? i dla czego ci się sklepowe zatrudnienie nie podoba?

— Nie, proszę pana — odrzekł Guccio — ono mi się nie podoba, tylko czuję, że przykro mi bardzo będzie do innych ludzi się przyzwyczajając, a bez pana i bez pana Adama, który mię bronił i tak mi zawsze wszystko tłumaczył, o co spytałem, jakby za nauczanie mię pieniądze brał, mo-

żebym sobie wcale i rady nie dał. Ale nie o to mi idzie jeszcze, tylko o Zosię. Zosia jest dwa lata młodszą odemnie, ale bardzo jest roztropną i tkliwe ma serduszko. Gdyby pan słyszał, jak w niedzielę gdy do niej idę, zaczniemy przypominać sobie dawne czasy u rodziców, i rozważać co też z nimi stać się mogło? i czy ich kiedy ujrzemy w życiu? i co z nami będzie?.. toby pan nad nią może zapłakał jak ja nieraz. Bo ona, proszę pana, jest w szkole, ale ja przez ostatnie czternaście miesięcy byłem w lepszej jeszcze szkole, bo w szkole życia, jak mówi pan Adam. Wiem przeto lepiej niż ona jak trudnem jest życie dla każdego, a najbardziej dla młodego dziewczątka bez rodziców. Gdy Zosia skończy szkołę, choćby i parę lat potem w najniższych klasach nauczycielką była, jak zapowiada pani Ikska, to i tak będzie miała dopiero siedmnaście lat, i ja powinienbym wtedy wziąć ją do siebie i dać jej braterską, taką jak rodzicielską, opiekę. A tymczasem jeżeli pozostanę chłopcem sklepowym, to czemże będę za dziewięć lat jeżeli nie subiektem

w najlepszym razie?, a wtedy, czyliż będę mógł utrzymać siostrę jak należy, gdy będę musiał sam siebie porządnie ubierać, i tak sypiać z kilkunastu kolegami jak pan Adam? Otóż to ja dla tego chciałbym spróbować innego zatrudnienia.

— Prawdę ty mówisz po części—rzekł kupiec—i znać na tobie, że chowasz się w szkole życia, ale cóż zatem robić zamysłasz?

— Ja, proszę pana, chciałbym się dostać do jakiej drukarni i gazety roznosić, bo słyszę od znajomego, dobrego chłopca, który matce swej do wyżywienia młodszego rodzeństwa pomaga, że chłopak żwawy i przytomny, może tam co dzień choć trochę grosza zarobić.

— Tak, ale w takim razie będziesz całe życie roznosicielem zarabiającym codziennie trochę groszy i nic więcej, kiedy po latach pracy w sklepie, mógłbyś zostać współnikiem kupca a potem i kupcem i przy doświadczeniu, jakiego mnie właśnie dotąd brak było, mógłbyś zrobić znaczny majątek.

— Kiedy, proszę pana ja o znaczny majątek niedbam.

— Co?.. o majątek nie dbasz?.. doprawdy?.. No, to przyznam ci się, że i ja nie dbam o niego, tylko pragnę mieć uczciwy sposób do życia, ale wiedz, że od lat wielu pierwszy raz zdarza mi się słyszeć kogoś utrzymującego, że nie dba o majątek; przeciwnie: w tych czasach młodzież o niczem nie myśli jak tylko o zdobyciu dużego majątku; powiedz że mi proszę, dla czego ty on nie dbasz?

— Dla tego proszę Pana, że... że...

— No mów, mów szczerze chłopaczku, przecież ja nigdy chyba dla ciebie srogim panem nie byłem, mów zatem, jeżeli nie jak do ojca, to przynajmniej tak jakbyś do stryja własnego mówił.

— A to dla tego proszę pana, że widziałem własnych rodziców bardzo szczęśliwych w skromnym, pracowitym bycie a widziałem bogatych ludzi bardzo nieszczęśliwych, jak ten oto pan z pałacu naprzeciw nas, ten co to umarł samotny płacząc ciągle, jak opowiadała służba, na opuszcze-

nie swoje, a teraz zjawiała się chmara jego krewnych i procesują się zawzięcie o ten jego majątek, któren mu zatem szczęścia nie przyniósł.

— To wszystko prawda; ależ moje dziecko, wszak i twoi rodzice dopóty tylko byli szczęśliwi, dopóki nie przyszło na nich nieszczęście, a wtedy...

— Otóż to! proszę pana, tego to ja bym chciał uniknąć!..

— Czego? nieszczęścia?..

— No, niby nie, bo tego nikt nie uniknie, tylko... tylko jabym chciał zabezpieczyć się przeciw temu, przeciw czarnej godzinie, jak to nazywała Magda posługująca u nas w sklepie.

— A twój ojciec się nie zabezpieczył?

— Bo nie mógł, proszę pana, bo miał dzieci na które wydawał cały swój zarobek, a także i wypadku tego który go chleba pozbawił i na tułaczkę skazał, przewidzieć nie mógł. Ale ze mną jest wcale inaczej, bo najprzód ja dzieci niemam odkąd Zosia jest na opiece pani Ikskiej, i mam przed sobą swobodnych lat dziewięć, przez które po-

stanawiam żyć chlebem i wodą, byle składając codzienny zarobek grosz do grosza, uskładać cośkolwiek na „czarną godzinę” i na uiszczenie się z długu pani Ikskiej za Zosię, wedle umowy...

— Aha... więc to dla tego chcesz zatrudnienia płatnego natychmiast, ażeby uzbierać sobie trochę pieniędzy na „czarną godzinę?..

— Na to, ażebym mógł przetrwać bez rozpaczy chwilowy brak zatrudnienia płatnego, jaki każdemu zdarzyć się może i jaki właśnie zdarzył się memu ojcu. Mój ojciec go nie przetrwał,.. serce się kraje na myśl co się z nim i z matką stać mogło...

— I tobie się zdaje, że na to wszystko znajdziesz radę w drukarni?

— Proszę pana, ojciec mówił, że w każdym zawodzie można dojść do względnego dobrobytu, byleby żyć przytem oszczędnie i mieć zamiłowanie tego fachu.

— Tak mówił ojciec?.. bardzo być może, że miał słusność tak; mając zamiłowanie w swem rzemiośle, będziesz wywiązywał się z pracy lepiej

od innych niemających tego zamiłowania i przeto możesz mieć powodzenie...

— A nużbym z czasem wyszedł na zecera a potem na dyspozytora!.. ach!.. otóżbym mógł zaopiekować się Zosią!

— Moje dziecko—rzekł kupiec popatrzwszy na niego uważnie—nie wzbijaj się w dumę, tylko niech ci to odwagi i otuchy doda, gdy ci powiem, że mówisz nieledwie jak człowiek dorosły i wykształcony już w tej szkole życia, do której, co prawda, bardzo wczesnie się dostałeś. Czyń więc co chcesz, zobaczymy czy będziesz tak robił jak mówisz, ale o tem pamiętaj, że gdyby srogi ten twój nauczyciel który się życiem nazywa, obszedł się z tobą znowu tak surowo jak wtedy gdy cię z rodzicami rozłączył, to.. ot jest mój adres, przyjdiesz w takim razie do mego małego sklepu, gdzie, jako wierny mi do ostatniej chwili w nieszczęściu chłopaczek, znajdziesz dach i pożywienie i opiekę o ile ją dać mogę.

— Oh,—zawołał Guccio ze łzami radości rzucają się do nóg kochanemu panu,—to samo już

powiedziała mi pani Ikska, i zakonnica i pan Adam: chyba już teraz Zosia nie zginie, kiedy ja przez czternaście miesięcy czterech przyjaciół, nie licząc Antosia, znalazłem. Oj mieli słuszość grecy, gdy tak wysoko przyjaźń cenili!

— A ty co wiesz o grekach?—spytał zdziwiony kupiec, który nigdy dotąd nie miał czasu rozmawiać z Guciem tak, jak w tej chwili rozstania.

— Wiem tyle co mi ojciec powiadał i czytywał.

— Aha,— rzekł kupiec z uśmiechem—to już teraz wiem przyczynę wszystkich waszych nieszczęść: oto ojciec twój rozmiłowany jest za bardzo w starożytnych pięknych, ale dzisiaj nie praktycznych cnotach,.. Nie bój się jednakże chłopczyno i idź torem twojego ojca dalej, a nie zginiesz z Zosią twoją. Bo najprzód istnieją jeszcze ludzie tacy, którzy cię ocenić potrafią, a potem, matka twoja, towarzysza godna zapewne twego ojca, musiała ci powiedzieć, że życie nasze chwilowe i znikome jak sen, przeminie,

a po za niem dopiero przebudzimy się do prawdziwego i wiecznego życia, w którym będzie nam o tyle dobrze i pięknie, o ile stać nas na wyobrażenie sobie dobra i piękna. Dla tego to powinniśmy kształcić się i doskonalić choćby z ciężkiem trudem, aby jak najdoskonalszymi umierać, bo jakimi umrzemy, takimi pozostaniemy na wieki.

— Tak, matka coś tak samo, i nieraz mówiła...—szepnął Guccio zamyślony.

— Ale tymczasem—dodał żywo kupiec—powiedz mi, co ty wspomniałeś o zecerze? Czy tobie się zdaje, że być zecerem, dochrapać się zecerstwa, to już takie szczęście?.. W błędzie jesteś: to nędza!

— Tak,—rzekł Guccio—wiem od Antosia, że i to jest nędza; ale, przy ciężkiej pracy i dobrem zdrowiu, każdy zecer może utrzymać rodzinę, a przytem, sam, chcąc niechcąc odczytuje składając do druku rękopisy różne, czasem nie wiele warte, a czasem niezmiernie ważne, napisane przez ludzi bardzo a bardzo uczonych,.. otóż!..

ja myślę, że taki zecer musi kształcić się i nabierać rozumu mimowoli, gdy takie rzeczy składa do druku...—dokończył spiesźnie Guccio, mocno zmieszany, czerwieniąc się po uszy.

— Aha!..—rzekł kupiec z uśmiechem—przed chwilą twój ojca zrozumiałem, a teraz ciebie rozumiem,.. to więc ty masz także żyłkę uczoności taką jak twój ojciec? A, jeżeli tak, to już nie ma co mówić, tylko robić trzeba tak, jak ty masz ochotę, bo inaczej jeszcze cięższe byłoby tobie życie niż jest. Jak człowiek ma skłonność do szpargałów, do uczenia się, to niema już co mu bronić, bo to jest taka słabość jak i druga, tylko że piękna, szlachetna i korzystna, jeżeli nie dla niego, to przynajmniej dla jego współbraci. Zatem idź ty swoją drogą, chłopcze,.. ale czy wiesz, że jeżeli będziesz tylko to czytał co składać do druku będziesz, to nie wiele się nauczysz?

— O Boże! A czyliż to pan i pan Adam i pani Ikska nie będziecie pożyczać mi książek jak dotąd, i czyliż zabraknie już nocy abym je mógł

czytywać jak przez te czternaście miesięcy?—zawołał Guccio.

— No, jeżeli chcesz nocami sam się kształcić a w dzień pracować na twe utrzymanie, niemam nic przeciw temu—rzekł kupiec z uśmiechem serdecznym—pracuj! a ja pierwszy błogosławię pracy twojej.

Uściskał kupiec Guccio i poszedł do swego sklepiku, a Guccio pobiegł co prędzej pod Kopernika i przechadzał się tam zwolna myśląc sobie:

— O ty, Koperniku, wielki astronomie który wymierzyłeś drogi słońca, księżycy i ziemi, czemuż nie wymierzyłeś i dróg ludzkich, abym ja się po nich nie błąkał?

A po chwili dodał:

— A to pewno dla tego, że te drogi są to drogi ducha ludzkiego których wymierzyć nie można, ponieważ on je sobie coraz inne i odmienne wynajduje, gdyż sam doskonali się i odmienia nieustannie aż do śmierci,.. dopóki nie spocznie w źródle z którego powstał, w Bogu!

XI.

W drukarni.

— Ha, jeżeli tak już jesteś przekonany, to czynń wedle przekonania twego,—powiedział Antoś, gdy Guccio wszystko mu powtórzył, co z kupcem, panem swoim mówił. I zaprowadził Antoś Guccia do drukarni, w której sam miał zajęcie.

Właściciel tej drukarni był to człowiek młody, sam na dorobku dopiero będący, ale który przez to właśnie mógł tem lepiej wejść w potrzeby swoich podwładnych, że sam niedawno przebywał też samą drogę, którą oni teraz kroczyli.

Rozpoczął więc Guccio pracę w drukarni tak, jak on wszystko zwykł był robić, to jest, sumiennie i posłusznie pełniąc co kazano.

‘ Często, gdy zecerzy składali do druku czcionki metalowe, biorąc je po jednej z kaszty czyli skrzynki z przegódkami, stojącej przed każdym z nich pochyło jakby duży pulpit, Guccio stawał za składającym i pilnie się przypatrywał tej ro-

bocie, jeżeli tylko sam nie miał pilnej roboty. Z początku nie mógł wielu rzeczy zrozumieć. Nie mógł zrozumieć dlaczego czcionki w kaszcie nie są umieszczone w alfabetycznym porządku i tego ich właściwego porządku nie mógł spamiętać. Aż gdy raz i drugi temu i owemu zecerowi, gdy już ułożył kilka kolumn pisma, jakimś przypadkiem rozsypały się ułożone czcionki, a Guciovi kazano je zebrać, rozgatunkować i we właściwe przegródki w kaszcie powkładać, dopiero rzecz zrozumiał. Czasem, gdy przed którą kasztą nie było zecera, Gucio stawał przed nią, zakładał jaki bądź zapisany kawałek papieru w dewizoryjum czyli małe narzędzie, trzymające rękopis przed oczami zecera, brał w lewą rękę narzędzie zwane zniemiecka winkelhakiem, po polsku wierszownicą, a które służy do regulowania długości wierszy i wkładał do niego litery, jedną po drugiej biorąc z kaszty wedle rękopisu, a układając w taki sposób, jak to widział u zecera. Ażeby sięgać ręką do przegródek z literami stawał na małym stołku, bo sam był jeszcze mały; gdy zaś

złożył w ten sposób kawałek pisma, tó znow je potem rozbierał, wkładając każdą literę we właściwą przegródkę w kaszcie. Z początku musiał to robić bardzo wolno, ale niespełna w rok jeden, tak mu się ręka wprawiła, że machał nią na wszystkie strony aż się migała nad kasztą, biorąc litery z przegródek, a nigdy się nie pomylił, gdyż jest to rzecz wprawy, podobna do tej jakiej nabiera ręka w grze na fortepianie, gdzie palce jakby same z siebie trafiają na właściwe klawisze. Była to jedyna zabawka Gucia w chwilach wolnych, gdy inni chłopcy swawolili, czubiąc się częstokroć. Nikt mu tej zabawki nie bronił, bo przekonano się, że mały chłopak nigdy najmniejszego zamieszania w porządku liter w kaszcie nie spowodował.

Oprócz posług w drukarni, używany był Gucio tak jak wszyscy tacy chłopcy, do posyłek; co chwila któryś tam zecer wołał:

— Gustaw! na masz tu paczkę, nieś pismo wedle adresu do korekty!—(korekta, jest to poprawianie błędów drukarskich).

Czasem nosiło się tylko z sali do sali, a czasem bardzo daleko, aż na koniec Warszawy nieraz. A najczęściej wysyłano z tem Gustawa, i każdy zecer go wołał przed innymi chłopcami, przekonawszy się, że Gustaw jest przytomny i uważny, niema zwyczaju gapić się po drodze na byle co, ani swawolić z kolegami, a więc rękopisu nie zgubi, co się nicponiom chłopakom zdarza. Prócz tego, codziennie, gdy tylko jedno z pism drukujących się wyszło z pod prasy, Gucio na gwałt wraz z innymi składał wielkie arkusze, tak jak zwykło się je składać aby oddać do rąk czytelnika, a była to robota nielada, gdyż gazety drukują się w wielkiej ilości, tysiącami egzemplarzy. Następnie miał Gucio wyznaczoną sobie sporą ilość egzemplarzy takich, które schwyciwszy pod pachę biegł z nimi na Warszawę, roznosząc po czytelnikach którzy gazetę miesięcznie prenumerowali. Jak wiadomo, każdy prenumerujący gazetę dopłaca do jej ceny dziesięć groszy na miesiąc za przynoszenie jej do domu, te to dziesiątki stanowią zarobek stały takich chłopców, jakim

był Gucio. Dziesięć groszy na miesiąc, jest to wprawdzie niewiele, ale zawsze obsłużenie takich trzydziestu czytelników przynosi dziesięć złotych na miesiąc, gdy więc roznosiciel ma dobre nogi i zdrowe piersi, a dużo egzemplarzy do roznoszenia dostanie, to wprawdzie nabiega się po ulicach jak młody żreback, a po piętrach aż do czwartych i piątych jak kot, ale przecież zarobek jaki taki mieć może. Prócz tego weszło już we zwyczaj między roznosicielami, że co miesiąc, oprócz owej stałej płacy, ~~jeszcze~~ zdejmują czapkę przynosząc swe pismo i proszą prenumeratora, aby im dał cośkolwiek „na piwo”. Że zaś każdy płacąc za gazetę pragnie ją mieć codziennie regularnie i jak najwcześniej, przeto chętnie daje jeszcze jedną dziesiątkę „na piwo” do ręki roznosicielowi, byle się tylko spieszył z gazetą. Tak więc pilny i żwawy chłopak ma płacę podwójną, a to już dla malca stanowi zarobek nie lada jaki.

Gdy Antoś, życzliwy kolega opowiedział tę ostatnią okoliczność Guciovi przy obznajmianiu go z tajemnicami nowego zawodu, Gucio zaczer-

wienił się jak burak, aż po skronie i zawołał z dumą i oburzeniem:

— Nie,.. tego nie zrobię!

— Czego?

— Tego, żebym miał czapkę zdejmować i prosić na piwo.

— A to czemu? .

— Temu, że wstydziłbym się uprzykrzać o pieniądze, kiedy za mój trud mam już należne wynagrodzenie.

— Ha ha ha!.. a to głupi!..—rozśmieli się chórem chłopcy inni słyszający tę rozmowę dwóch przyjaciół.

— Wstydziłbyś się? To może i tego wynagrodzenia będziesz się wstydził przyjmować? — powiedział Antoś.

— Wcale nie, to co innego, bo to jest mi należne, a tamto byłoby mi dane z łaski i wyproszone! (

— Tak, ale to już weszło w zwyczaj; a zresztą, jeżeli będziesz się tego wstydził, to ciekawym, czy nie będziesz wstydził się gorzej kiedyś

gdy panna Zosia skończy nauki i tobie wypadnie uiścić się z długu za nią przełożonej szkoły?—

Tak spytał Antoś, a Gucio na te jego słowa zadrżał i nagle zamilkł. Przykra walka toczyła się w duszy chłopczyny: szlachetna duma nie pozwalała mu prosić o to, co wedle jego wyobrażeń nie należało mu się z prawa, gdy tymczasem taż sama duma uczciwa niepozwalala mu także spać spokojnie, przypominając co chwila święty dług, jaki za lat kilka powinien być spłaconym, a ku zaspokojeniu którego, każdy grosz musiał być toskliwie zbieranym. A jednakże Gucio postanowił nie prosić nikogo „na piwo,” i gdy nadszedł pierwszy dzień nowego miesiąca porzosił swoje gazety jak innych dni, nie powiedziawszy ani słowa. Ale nazajutrz przyniósłszy znowu gazety, zdziwił się, gdy ten i ów z prenumerujących, biorąc mu gazetę z ręki położył na niej dziesiątkę, mówiąc:

— A i cóż ty malutki, nie upominasz się na piwo? czy zapomniałeś, że wczoraj był pierwszy miesiąca? Na, masz, a przynos zawsze tak regu-

larnie jak przez ten miesiąc nosiłeś.—Tak mówili mniej więcej prenumeratorzy, a jeden żwawy jakiś staruszek zamiast dziesiątki dał złotówkę mówiąc niby surowo:

— Na, masz chłopaczku więcej niż ci się należy, za to, że się nie upominasz, a obowiązek pełnisz; tylko mi się nie popsuj i noś regularnie jak dotąd, bo wiedz, że ty pierwszy dopiero jesteś którego przez miesiąc ani razu za uszy nie wytargałem!..—Gucio, nieprzygotowany na nic podobnego, tak się zdziwił, że nie wiedział sam co zrobić, bo odrzucić znów co dawał taki staruszek takiemu dzieciakowi, byłoby niegrzecznością; przyjął więc w końcu i zdjął czapkę na podziękowanie, on, który „dla proszenia” zdejmować jej nie chciał. Przytem wyrazy staruszka „na, masz więcej niż ci się należy,” uspokoily trochę skrupuły Gučia.

— A więc może mi się to i należy...—powiedział sobie, i odtąd brał już co pierwszego te dziesiątki, gdy mu je dawano, ale nigdy o nie nie prosił, jeżeli dać zapomniano, co zresztą

rzadko się trafiało. I stale pozostawał w swojej drukarni gdy innych chłopców, prócz Antosia jednego, przepędzano ciągle, wytargawszy nieraz za uszy, wedle wyrażenia owego staruszka. To też wkrótce chłopcy ci zauważyli tę różnicę i zaczęli Gucioowi zazdrościć przychylności właściciela drukarni, przypisując ją różnym przyczynom, tylko nie temu, że Gucio zasługiwał na nią.

XIII.

Psi figiel.

— O, to i ty Franek już nie jesteś u dawnego „starego” kiedy tu się przenosisz?—mówił raz jeden ze starszych takich chłopców, siedząc na desce okiennej w długim korytarzu, z którego liczne drzwi prowadziły kędyś w głąb, a nad takimi drzwiami były ogromnemi literami napisy „Redakcyja” „Ekspedycyja” „Drukarnia” i t. d. Chłopcy mówili o „starym” bo tacy chłopcy wychowani po większej części na ulicy, mają zwyczaj nazywać tak swoich panów i majstrów, co

jest nieprzyzwoicie, ale chłopcom takim dziwić się nie można.

— Bah,—odparł Franek—tam nikt już teraz długo nie wytrzyma mój Stefku, bo Gustaw, ten lizus opanował starego ze wszystkim. Gdyby mu nóg starczyło, toby mu chyba wszystkie już gazety do roznoszenia dano, to szczęście, że nie starczy, więc jeszcze się tam ten i ów trzyma, ale inaczej toby już nikogo tam więcej nie zostało, kiedy i Gruby Jacek uciekł.

Wszyscy chłopcy, a była ich spora gromadka około Stefka przy oknie, na korytarzu u nowego „starego”, gdzie siedząc jak zwykle, oczekiwali na każde zawołanie pana i jego podwładnych, spojrzeli w tej chwili w głąb tego korytarza. Tam w ostatnim krańcu siedział także na desce okiennej spory, może nawet siedmnastoletni chłopak, i pisał litery na tabliczce, głośno wymawiając przytem ich dźwięki.

Był to Jacek, a chłopcy nie darmo spojrzeli ku niemu, bo on, choć zdaleka, dosłyszał ich roz-

mowę i zaraz odparł grubym głosem, i w sposób dziwnie nieprzyzwoity i grubijański:

— Nie prawda!.. Ja nie uciekłem, tytkom odszedł... bo mię wypędzono!

— Ha, ha, ha! jakież on głupi! — zakrzyczeli śmiejąc się inni; a na to, Gruby Jacek podniósł głowę, złożył na kolanach swoją tabliczkę i ry-sik, i odparł zdaleka grubijańsko, po swojemu:

— Głupi?.. To ja wiem, zem głupi, kiedy sierota jestem i nie znam szkoły ani matki, ani ojca, którzyby mnie rozumu uczyli,.. więc głupi jestem, ale jam nie kłamca! O nie!.. nie jestem kłamcą i nie będę kłamcą, bo mały Gustaw powiedział mi, że kłamstwo jest podłość, i że każdy kłamca jest podły niktzemnik, oho!.. ja nie skłamię więcej!

Gruby i duży nad wiek chłopak, wypowiedział te słowa z takim przekonaniem i tak potężnym głosem, że malcy obradujący zamilkli od razu, i dopiero po chwili rzekł Stefek ciągle siedzący na oknie:

— Patrzajcie, i ten Gruby Jacek Gustawa

stronę trzyma,.. co to jest, że wszyscy lubią tego Gustawa!

— I ten stary profesor z Chłodnej nigdy na niego nie skarży, a na mnie skarżył w redakcyi.

— Nie miał skarżyć, kiedyś mu przyniósł gazetę nazajutrz po wyjściu z prasy!—mruknął gruby Jacek zdaleka.

— On i na mnie naskarżył, choć mu co dzień regularnie nosiłem — powiedział Stefek.—I przez to mię oddalono.

— Tak, ale poczubiłeś się z drugimi wtedy; któryś pchnął cię i gazety upadły w błoto i powalały się—dodał Franek.

— Ej, żeby też tak kiedy figla jakiego splatać temu lizusowi Gustawowi, żeby i on co oberwał!

— O! wielka rzecz—rzekł Stefek sciszając głos i ogłądając się w stronę grubego Jacka—kiedykolwiek w deszcz, jak tam przed domem tego profesora błoto wyleje z kanału jak zwykle, pchnąć Gustawa, gdy będzie po swojemu pędził, to i grzmotnie z gazetami w błoto...

— Jacek!...—zawołał ktoś zza drzwi poza-

mykanych, i Jacek pobiegł na wołanie a Franek rzekł:

— I mrugam na was i mrugam, żebyście nie gadali tak głośno a wy wciąż rozprawiacie przy Jacku; przecież Jacek wszystko Gustawowi powie, bo jego stronę trzyma, odkąd czytać i pisać uczy się od niego...

Gdy tak chłopcy, wisusy, zmawiali się na Gucia, on tymczasem odebrawszy już pęk gazet w swojej drukarni biegł ją roznosić, i w godzinę później na czwartem piętrze jakimś spotkał się oko w oko z Frankiem, który także pismo inne na toż samo piętro zaniósł.

— To ty tak z tych pięter schodzisz—rzekł Franek, spojrzawszy na zbiegającego już Gustawa.

— A jakże mam schodzić?—odparł tamten.

— A tak oto—powiedział Franek i wskoczywszy na poręcz jak na konia zsunął się w mgnieniu oka aż na dół, bo poręcz nadawała się do tego, ale dojeżdżając już na dół, podniósł głowę chcąc spojrzeć gdzie został Gustaw. Wtem gazety wymknęły mu się z pod pachy, chciał je schwycić,

stracił równowagę i spadł na zabłoconą podłogę sieni, a gazety rozleciały się koło niego.

— A bodajże cię wilcy zjedli!—zaklął—to przez tego Gustawa, ztem spojrzeć chciał jak on się wlecze; bo przecież zawsze tak jeżdżę, a nigdy mię to nie spotkało.

— Bo póty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie, a to jeżdżenie po poręczach zawsze się kończy w ten sposób i dobrze jeszcze, jeżeli się karku nie skręci,—rzekł Gucio zbiegając—czyś się nie potłukł przynajmniej?

Gucio pomógł koledze zbierać gazety, bo ludzie ciągle przez sień przechodzili i byliby je wdeptali w błoto, i pobiegł dalej.

— Poczekaj, urwie się ucho i tobie!—mruknął z gniewem Franek, zły o swoje powalane gazety i rozbitą głowę, ale nie przypisując tego własnej swawoli, tylko temu, że się spojrział na Gucia zjeżdżając po poręczy. Naraz przypomniawszy sobie niedawną naradę, pobiegł za nim, choć mu nie wypadła droga tamtędy.

Surowy emeryt profesor siedział w oknie swego mieszkanka, wyglądając niecierpliwie gazety, a koło niego siedział jak zawsze ogromny Rozbój, czarny kudłaty pies, i także duży, czarny kot Judasz; deszcz padał ulewny. Gucio ukazał się wkrótce biegnąc, i wbiegał już na zepsuty mostek przed domem emeryta, gdy Franek pędząc za nim dopędził go i niby niechcący potracił; Gucio pośliznął się i wpadł wraz z gazetami w ściek pełen błota i wody.

— O!.. widzisz jak to i tobie ucho się urwało! — chciał powiedzieć Franek złośliwy, gdy wtem mądry Rozbój, którego Gucio głaskał codziennie, skoczył z dość niskiego okna i schwytał Franka za gardło, a emeryt wybiegłszy przed się z kijem w ręce, zaczął bić złośliwca chłopaka co sił starczyło, rozgniewany okropnie i o swoją gazetę i o Gucia, którego polubił za ściśle wypełnianie obowiązku.

Gucio wyskoczywszy z błota z pękiem gazet których nawet z ręki nie puścił, musiał aż prosić profesora, żeby dał pokój Frankowi, a Rozbój

puścił go dopiero na rozkaz swego pana, nie zrobiwszy chłopcu nic złego, tylko przytrzymał go po to, aby ukarany został, bo takie mądre psy umieją taką sztukę.

— Pójdź no, chłopaczku!— rzekł stary emeryt, gdy Gucio przemoczony i z guzem na czole chciał już odbiegać; zaprowadził go do swego mieszkania i dobywszy z szafy porządny zupełnie garnitur, dał go Guciovi mówiąc:

— To jest ubranie mego wychowańca, wisusa który do mnie na święta przyjeżdża; przebierz się w nie natychmiast, żebyś przemókłszy, nie rozchorował się, bobym znów musiał targać za uszy innych chłopaków, jakby mi nosić gazetę zaczęli.

Gucio nie śmiał odmówić staruszkowi, przebrał się więc, a swoje ubranie zwinął w paczkę. Gdy on to robił, emeryt wypytywał go tymczasem o jego rodziców i sposób życia, a widząc, że chłopak spieszy się niezmiernie dodał:

— No, albo już biegnij teraz z gazetami, jeżeli posiadasz rzadką cnotę punktualności, a pogada-

my kiedy indziej... czemu się uśmiechasz, chłopcze?—podchwycił surowo.

— Bo pan cnotą nazwał, że gazety na czas przynoszę,.. a...

— A co? mów żwawo?

— A spartanie poniósłszy z królem Leonidasem śmierć bohaterską, mieli na grobie wyryte, że spełnili tylko powinność,.. eh, przepraszam pana,.. co ja też plotę,—dodał Guccio zawstydzony i zaczerwieniony mocno, spostrzegłszy, że się wyrwał jak Filip z konopi.

— A ty zkąd wiesz o spartanach? Czy ty książki czytujesz?—ostro krzyknął stary profesor i chwycił Guccia za czuprynę, zdziwiony grekami zupełnie tak jak kupiec przed laty.

— Książki czytuję,.. i,.. i ojciec dawniej...—bąkał chłopak.

— Przyjdź w niedzielę, dam ci książek!—rozkazał stary. Guccio o mało mu się do nóg nie rzucił za tę obietnicę, podziękował jeszcze raz serdecznie za ubranie i pobiegł w swoją drogę.

Jak zwykle w takich razach, gdy mu wypadło przyjąć dar jakiś, co zawsze upokarzało chłopca, pragnącego wszystko zawdzięczać swej pracy, przyrzekł sobie, że gdy się tylko dorobi, zaraz taki sam garnitur sprawi jakiemu ubogiemu chłopcu.

Uspakajał sam siebie w ten sposób, uważając dary takie jedynie tylko jako pożyczkę, którą z czasem miał zwrócić,.. jakkolwiek nie tym samym u których pożyczył.

XIII.

Nauczyciel z powołania, uczeń z zamikowania.

W niedzielę pobiegł Guccio do staruszka na Chłodną ulicę, a ten rozpoczął po prostu jakby jakąś indagacją, czyli śledztwo, zadając pytania zawsze surowym głosem:

— Gdzie sypiasz?

— W redakcyi naszej gazety sypiać mi po-

zwolono, abym od samego rana był na usługach w drukarni, która jest w tym samym domu.

— Gdzie jadasz?

— W niedzielę i święta u pani Ikskiej, z siostrą moją Zosią, która tam jest na pensyi.

— A w inne dni?

— Kupuję sobie...

— Kto płaci za Zosię?

— Ja zapłacę jak się dorobię, pani Ikska obiecała czekać.

— A jakże ty się dorobiisz? bo to będzie wielka suma...

— Nie tak bardzo; bo Zosia skończywszy nauki będzie nauczycielką przez kilka lat w niższych klasach, a pani Ikska to sobie policzy; Zosia nawet powiada, że może zostanie nauczycielką na stałe przy tej pani, bo ją bardzo kocha, a książki lubi,.. a przytem ja wiem, że Zosia jeszcze co innego myśli...

— Co takiego?

— A to, żeby sama bezemnie odwdzięczyć się przełożonej za wychowanie, i żeby pracować da-

lej sama na siebie. Ale ja na to nie pozwolę; przecież ma brata.

— A cóż ty zrobisz?

— Uskładam grosz do grosza; już teraz mam pięćset złotych!..

— Ty? pięćset złotych?

— A oto są! — rzekł Guccio z dumą i radością wyjmując z zanadrza woreczek. — A później będę się starał na zecera, a... ach,.. gdybym też z czasem dyspozytorem mógł zostać... Jużbym wtedy nie troszczył się o los Zosi, bo to duża zapłata!

— A cóż to jest u was dyspozytor? Chyba zarządzający drukarnią, jeżeli się nie mylę?

— Tak, proszę pana; to niby gospodarz w drukarskim zakładzie; wydaje materiały, naczyna cenę roboty i pilnuje tej roboty, a także ją rozdaje. W ogóle on wszystkim kieruje w drukarni.

— Wierzę, że dobrą zapłatę brać musi, ale też chyba nie lada kto może być takim dyspozytorem: trzeba mu pewno choć trochę nauki?

— Ach, do czegoż nauki nie trzeba!—zawołał Guccio z ciężkiem westchnieniem.

— A gdybym ja cię też z godzinę dziennie porządnie chciał uczyć? Wiesz, że w szkołach męzkich profesorem byłem?

Na te niespodziane słowa staruszka, Guccio rzucił mu się do nóg i płacząc ręce mu całował.

— Usiądź tu, i słuchaj co ci powiem, rzekł emeryt. Widzisz, jeżeli istotnie pojmujesz właściwie cel nauki, którym jest doskonalenie ducha, nie zaś zdobywanie wygodnego bytu na świecie, jeżeli będziesz umiał korzystać z mojej pomocy i zamiłujesz naukę, to wiedz, że ja tem samem już będę wynagrodzony za moje trudy; bo ja, czuję się w obowiązku pracowania dla dobra ogółu, dopóki żyję i mam siły po temu, zaś lepiej dlań pracować nie mogę, jak kształcąc pożytecznych ludzi. Odkąd zostałem emerytem, mam zawsze paru uczniów wybranych między ubogimi i zdolnymi; ty będziesz jednym z nich. Niewiem tylko jak urządzisz się z czasem, abyś mimo to zarobku swego nie tracił?

— Czy pan serdeczny późno wstaje?

— Zimą i latem o piątej.

— Och, kiedy tak, to jeżeli pan pozwoli, będę tu co dzień o szóstej i jeszcze na ósmą do drukarni wrócić!

— I potem po południu będziesz tu drugi raz pędził z gazetą? Nogi straciłbys przy tem. Oto lepiej sypiaj ty u mnie, jedz ze mną śniadanie, ucz się, a potem dopiero ruszaj do twojej roboty.

— O Boże, Boże!..! cóż ja tu długów mieć będę!..—Gucio zawołał biorąc się za głowę.

— Jakich długów?

— Bo mnie proszę pana okropnie wstyd było z początku dobrodziejstwa od obcych ludzi przyjmować, aż sobie postanowiłem, że gdy dorosnę, to każde takie dobrodziejstwo zwrócę jakimś nieszczęśliwemu chłopcu, takiemu jakim sam jestem, dopiero lżej mi teraz na duszy.

— Bardzo dobrze; będzie zatem ciężył na tobie obowiązek kształcenia kiedyś ubogiego chłopca, jak ja ciebie kształcić będę; a w takim

razie nie dziękuj mi już za pożyczkę wiedzy, którą masz mi zwrócić w osobie owego chłopca, tylko staraj się korzystać z mojej pomocy tak, jakbyś chciał, aby z twojej kiedyś korzystano. Teraz powiedz mi jeszcze jak się to stało, żeście wy dwoje zginęli tak, czy też, że rodzice wam zginęli tak bez śladu? Przecież nie w amerykańskim lesie żyjemy! Czyliż nikt z twoich znajomych nie napisał nigdy choćby listu do Kielc, po raz drugi później, gdy, jak mi opowiadałeś, pani Ikska i zakonnica napróżno go pisały? Czy podobna przypuścić, aby rodzice wasi nie starali się was odnaleźć, choćby tylko jedno z nich pozostało przy życiu?

— Owszem; właściciel drukarni przy której służę, jadąc raz za swojemi interesami do Kielc, wypytywał tam znowu i szukał osobiście Icka woźnicy i właściciela wielkiej bryki krytej, którą stale przewoził podróżnych, swoich współwyznawców po większej części. I otóż wtedy pan mój sprawdził, że Icek zrujnowany majątkowo na skutek straty prawie wszystkich koni, padłych

na nosaciznę, zaprzął do bryki ostatniego biednego wywłokę przypadkiem ocalonego i pojechał wraz z rodziną w świat, szukać gdzieindziej środków do życia. Stało się to wkrótce po naszym rozstaniu z rodzicami, i najoczywiściej w ten to sposób zaginął nasz ślad dla rodziców i stryja, choćby nas najbardziej szukali, gdyż nikt nie mógł ich objaśnić, że przez nieporozumienie dwóch wóźniców, zawieziono nas do Warszawy zamiast do Kielc.

Pan mój, zrozumiawszy to wszystko, użył jeszcze jednego sposobu, którego, bez mojej wiedzy nawet, użyły już z samego początku panie Ikska i zakonnica: oto ogłosił o nas w gazetach, ale gdy i na to nie odebraliśmy żadnej wiadomości od rodziców, tedy straciliśmy wszelką nadzieję...

— I słusznie podobno — szepnął stary emeryt z westchnieniem i przestał wypytywać Gucia, a natomiast otworzył sporą szafę pełną książek, wybrał z nich jedną i powiedział:

— To, weźmiesz z sobą i będziesz czytał w wolnych chwilach, jeżeli je będziesz miał; gdy przeczytasz, odniesiesz i opowiesz coś czytał, dostaniesz co innego. A za pomocą tych oto książek, będziemy studyjowali ten starożytny świat, który zachwyca cię, jak widzę, wzniosłą pięknnością cnót bohaterskich, pięknnością formy i myśli, a który nie znał jednej tylko cnoty i przez to niższym był od chrześcijańskiego świata,.. cnoty pokory!

Z tej zaś oto książki dowiadywać się będziemy powoli jak wyglądał ten kawałek ziemi na którym ty i ja zrodzeni jesteśmy, i co działo się na nim przed wiekami i od wieków; co zaś dzieje się obecnie, to już ja ci sam dopowiem, boć ubiegło lat trochę, odkąd książka ta wydrukowana.

Z tej znowu będziemy się starali poznać jakim porządkiem powstawało życie na planecie zwanej Ziemią, jak układały się na niej pokłady i warstwy podstawowe tych lądów, które stały się z czasem mieszkaniem człowieka. Od tej książki

zaczniemy, a najprzód zobaczymy co ty już wiesz z niej, bo widzę, że wiesz nie jedno.

Stary profesor założył na nos okulary, odchrząknął, zajął swe miejsce, wskazał drugie uczniowi i pełen zadowolenia, czując się w swoim żywiole, jak ryba w wodzie, rozpoczął wstępną lekcją geografii, pytając:

— Co to jest Geografija i jaki jest jej podział?

XIV.

Praca, zdolność i sumiennosc.

Gucio miał już wtedy lat przeszło dwanaście, ale wychowując się od półczwarta roku w twardej szkole życia, rozumiał cel nauki i jej korzyści daleko lepiej, niż nie jeden dwudziestoletni zepsuty pieszczoch. To też dla nikogo jeszcze z ludzi prócz rodziców, nie czuł tak głębokiej wdzięczności jak dla starego profesora za przyrzeczoną naukę, i wracając od niego wieczorem w niedzielę tę po pierwszych układach i pewnym ro-

dzaju egzaminu, był taki szczęśliwy, że o mało nie tańczył po ulicy, a u drzwi właściciela drukarni, spotkawszy Franka, który, jako w niedzielę szedł sobie przechadzając się z innymi, skoczył mu na szyję, wyściskał go serdecznie i uciekł wśród ogólnego zdumienia.

— Proszę pana!—krzyknął Jacek, posługacz, wpadając do pokoju drukarza—Gustaw zwaryjował! Franek, ten wisus niegodziwy co go pan wypędził od siebie tak jak i mnie, wrzucił go kilka dni temu w błoto, w ściek, razem z całym pękiem gazet, jedynie przez psi figiel, bo Gustaw się z nim nie wdawał, a teraz Gustaw spotkał nas i skoczył Frankowi na szyję, uściskał go i uciekł! Zwaryjował proszę pana! A możeby doktora, toby mu jeszcze co pomógł? Ja polecę!

— Idź sobie do twojego pana z twojami skargami!—surcwo rzekł drukarz i redaktor zarazem, znudzony wiecznymi swarami w swym zakładzie; ale gdy Jacek poszedł jak zmyty, pan wyszedł na korytarz i zawołał głośno Gustawa, a ten punktualny jak zawsze, mimo niedzieli, zaraz się

stawił i odpowiedział szczerze na wszystkie pytania co do psiego figla i mniemanej waryjacy i prosił zarazem o pozwolenie sypiania u profesora emeryta, a to w celu zyskania godziny czasu dziennie na naukę. Drukarz najchętniej się zgodził, tem bardziej, że nie na tem nie tracił a Gu- ciowi przychylny był istotnie. Miał on już do- syć doświadczenia z niesfornymi podwładnymi, aby ocenić należycie zalety Gucia; znał jego za- mysły i nadzieje i wcale nie był od tego, aby do- pomógłszy dzieciakowi, wykształcić sobie zeń dla własnej wygody i pomocy, dobrego zecera, a z czasem może i zdatnego dyspozytora. Jedna tylko rzecz nie podobała mu się bardzo w całej sprawie, a to powalane gazety.

— Dobrze to rozumiem—rzekł—że ty zyska- wszy nauczyciela przez psi figiel Franka, uściska- łeś go z radości za to, że cię w błoto wrzucił i potłukł; ale ja nie cieszę się wcale, że moje ga- zety były powalane, bo czytelnicy tego nie lubią. Wprawdzie nie skarżyli się na ten raz, przez wzgląd zapewne, że pierwszy raz to się trafiło od-

kąd ty nosisz gazety; ale jeżeli to puszczyć płazem, a chłopcy powtórzą figiel, to mojej gazecie może ubyć czytelników, czego wcale sobie nie życzę.

To powiedziawszy, drukarz natychmiast siadł i napisał do kolegi swego u którego posługiwali w drukarni Franek, Stefan, Jacek i inni, prosząc o powściągnięcie swawoli chłopaków, którzy mu kilkadziesiąt numerów gazety w błoto wrzucili.

Nie wiadomo co zaszło nazajutrz przy poniedziałku w tej drugiej drukarni, ale pewną jest rzeczą, że była to ostatnia koleżeńska napaść na Gucia; chłopcy chodzili odtąd zdaleka koło niego, a niezadługo zaczęli nawet kłaniać mu się czapkami przy spotkaniu, jakby komuś starszemu z drukarni, mówiąc pomiędzy sobą:

— E, ten Gustaw to nie nasz, on jest z panów, to dla tego tak się za nim ujmują panowie; dać mu pokój, nie warto się z nim wdawać!—Jakos dano mu pokój, na całe lat kilka nawet, ale potem stało się znów straszne oburzenie na Gustawa pomiędzy rówieśnikami którzy wołali:

— Patrzcie, patrzcie! Gustaw ledwo do kaszty dorósł a już zecerem został! A może on jeszcze jak dawniej po stołku do niej sięga? Otóż to sprawiedliwość! Oto co znaczy być lizusem!

— Powiedzcie lepiej: oto co znaczy nauka, praca, zdolność i sumiennosc, wy błazny!—odpowiedział na to drukarz przechodząc.

Bądź co bądź, z czasem musiała umilknąć zawieść i Gustaw odetchnął, poczuwszy, że stoi na pewniejszym gruncie, na którym i Zosia pomieści się wygodnie. Gdyby nie tęsknota za rodzicami i troska o ich istnienie, nurtująca go w dzień i w nocy, byłby wówczas zupełnie szczęśliwy, mimo bardzo ciężkiej pracy przy kaszcie, u której stawał po czternaście godzin na dobę, najmniej. Prawda, że zarabiał za to sporo, a niedziela należała do niego i dawała mu zapas sił i ochoty do pracy na cały tydzień. Już to i codzienna godzinka nauki u profesora, była chwilą rozkoszy i niby umysłowym posiłkiem na cały dzień, ale w niedzielę bywało jeszcze milej.

XV.

Jedna z niedziel.

W niedzielę porzucano książki, wsiadano do dorożki i udawano się do jakiejś mniej więcej odległej, a zajmującej miejscowości, gdzie profesor żywym słowem objaśniał Gustawowi to, co ich otaczało. Tak jednej niedzieli wziął go do obserwatoryjum i najprzód z zewnątrz z ogrodu botanicznego, z alei, i z różnych punktów wskazywał mu gmach, tłumacząc jego główne części i objaśniając użytek i znaczenie.

— Obserwatoryjum — mówił — jest to nau-myślnie i stosownie do swego celu zbudowany i urządzony gmach, zaopatrzony we właściwe narzędzia i przyrządy niezmiernie kosztowne, a przeznaczony do obserwacyj, czyli spostrzeżeń astronomicznych. W bardzo dalekiej starożytności, tej w której ty się tak kochasz, istniały już takie mniej więcej obserwatoryja, ale urządzenie dzisiejszych jest zupełnie nowożytnem. Dzisiej-





sze obserwatoryja nie są budowlami bardzo wysokimi, ale stawiają się z wielką uwagą na wybór miejscowości i gruntu: miejscowość musi być ze wszech stron otwarta na okolicę a grunt odpowiedni, żeby przy potężnych i właściwych gmachu posadach, ten ostatni nie ulegał o ile można, wstrząśnieniom. Otóż w starożytności oprócz olbrzymiej murów potęgi, starano się także o wznoszenie obserwatoryjów jak najwyższych.

I tak właśnie słynna wieża Babel, a przynajmniej wieża czyli świątynia Belusa, która stała w Babilonie jeszcze za czasów Herodota, greka, który ją nam opisał, stanowiła czworobok o tysiącu krokach obwodu, miała ośm olbrzymich pięter wysokości, i właśnie było to starożytne obserwatoryjum astronomiczne. Dzisiejsze, a raczej obecnie najsłynniejsze obserwatorya, są: w Paryżu założone r. 1664; w Grenwich; w Dorpacie; w Berlinie; w Pulkowie. Jest także wiele innych; a nasze warszawskie założone jest w r. 1829.

Następnie profesor wprowadził ucznia do wnętrza gmachu, gdzie miał znajomych, i objaśniał mu zegar astronomiczny na odosobnionym, od wszelkiego zetknięcia zabezpieczonym słupie; koła południkowe, najważniejsze przyrządy, umieszczone między słupami, które nie mają żadnej styczności z podłogą, gdyż murowane są osobno od podstawy gmachu, co wszystko znajduje się w oddzielnym pokoju; sufit tego pokoju i ściany, mają w kierunku południka otwór, zamknięty klapami. Wskazywał też profesor i objaśniał inne przyrządy i narzędzia, spektroskopy, refraktory i t. d. o których nie ma co i mówić, gdyż nieprzygotowany czytelnik nie zrozumiałby tego, a Gustaw rozumiał, bo się już uczył u profesora astronomii, oczywiście pobieżnie tylko i popularnie, tak jak każdy wykształcony człowiek powinien i może znać tę piękną i starożytną, ale bardzo trudną naukę.

Wyszedłszy z obserwatoryjum, profesor spoczął w Botanicznym ogrodzie, w cieniu na ławce, a przed nim roztaczał się wspaniały kobierzec,

utkany botaniczo-ogrodniczą sztuką z tysiącnych barw i odcieni kwiecistych; i starzec tak mówił do uważnego ucznia, który i botanikę tudyjował z zapalem oddawna:

-- Jak wiesz, mój chłopcze, pomocą w spostrzeżeniach botanicznych są wycieczki jakie i my odbywamy niekiedy, a także zielniki, rysunki, podróże naukowe i ogrody botaniczne, przy których koniecznemi są cieplarnie. Koźma Medyceusz, księżę Florencyi założył pierwszy ogród botaniczny, to jest do celów naukowych przeznaczony, roku 1544, w mieście Pizie. Później już, zakładano słynne ogrody: w Kew, w Rzymie, w Heidelbergu, w Paryżu, w Berlinie, w Petersburgu, w Wiedniu.

W Polskiej krainie, w bardzo odległych czasach, kiedy to jeszcze było w niej gęsto od puszcz, grzązko od trzęsawisk, rybno od jezior, i przeto klimat był odmienny od dzisiejszego, mieszkańcy kochali się niepospolicie w kwiatach i ziółkach pachnących. Jak puszcz tak i ogrodów, a między niemi różanych, jak świadczy

historyja, gęsto bywało wtedy, bo każdy dworzec każdy domek nikł i tonął w różach. Mnóstwo wonnych kwiatów w postaci wieńców ozdabiało wtedy z konieczności głowy panien i dziewczątek, i mieszkania zamożne i chaty. Suszonemi wonnemi liśćmi i zielem przesypywały polki bieliznę i wszelkie odzienie w skrzyniach i szafach; wszyscy nosili pachnące takie zwitki latem i zimą przy sobie, zawoniano pachnącemi roślinami mieszkania, wykadzano; na kominkach tliły się szczególniejsze dREWKA i rośliny wydające zapach przy Heniu.

W Zygmontowskich złotych czasach zakładano znów gęsto modne z racyi królowej Bony, ogrody włoskie; tak samo jak za Sobieskiego, z racyi Maryi Kazimiery powstawały, lub przeznaczone bywały na około ogrody francuzkim wzorem. Maryja Kazimiera sama założyła w Warszawie w celach naukowych piękny ogród pod zamkiem królewskim, drugi zaś przy Kazimierskim pałacu. W Krakowie założony został ogród botaniczny w r. 1774. Następnie

wileński i krzemieniecki założono. Ogród botaniczny warszawski, którego woniami oddychamy w obecnej chwili, niegdyś, jako ogród książąt Mazowieckich jeszcze, był przepyszny sadem, pełnym słynnych na cały kraj owoców. Szwedzi zniszczyli wspaniały ten obszar, podobny do lasu owocowego, doszczętnie. Później jednakże urządzono te ogrody znowu i starannie utrzymywano w wieku XVIII; później znowu je zaniedbano. Aż w roku 1810 ogród równie zaniedbany przy pałacu Kazimierowskim, urządzony został na nowo jako botaniczny, a zaraz w następnych latach przeniesiono go tu, gdzie obecnie kwitnie.

Historija i literatura botaniczna bardzo jest bogata i obfita; takie nazwiska jak Linneusza, Jussieu'go, Jakóba Wagi, zna lada dziecko, mnóstwo też innych nazwisk znakomitych błyszczy w historyi botaniki. Jednakże najpierwszym znakomitym i systematycznym badaczem życia roślinnego był Arystoteles, którego pisma traktujące o botanice zaginęły na nieszczęście. Nazwa sama tej nauki pochodzi z greckiego

botane, ziele, roślina. Botanika jest częścią jedną historyi naturalnej, i zadaniem jej jest badanie zjawisk świata roślinnego.

— A teraz gdyśmy już odpoczęli, pójdźmy dalej—rzekł profesor. Szli zwolna, miłym chłodem w cieniu drzew rozłożystych i wkrótce nie spiesząc wcale, zaszli do Łazienek królewskich, gdzie śliczny widok, szum drzew i wody zachęciły ich znowu do spoczynku, chociaż idąc z Botanicznego ogrodu nie mieli czasu się zmęczyć. Profesor usiadł i po chwili, pobudzony wspomnieniami, zamyśliwszy się, mówił znowu, patrząc na Łazienkowski pałac:

— W tem miejscu, w którem stoi ozdobny ten pałac, stała niegdyś za książąt Mazowieckich nie duża łaźnia; łaźnię otaczał ogromny zwierzyniec, bór prawdziwy, należący do zamku Jazdowskiego, czyli Ujazdowa, koło którego przejeżdża się jadąc do Botanicznego ogrodu. Królowie, jeżeli przyjechali do Warszawy, lubili mieszkać w Jazdowskim pałacu, polować w Jazdowskim zwierzyńcu, i w łaźni tutejszej używać kąpieli,

tak powszechnie i ogólnie używanej dawniej u nas przez wszystkich, od królów do ostatniego kmiecia. Odzwyczaili się jednakże królowie od zamieszkiwania pięknej tej Jazdowskiej rezydencji, gdy podczas pierwszej wojny szwedzkiej, zniszczyli szwedzi zamek zupełnie. Za zamkiem popadły w zniszczenie i zaniedbanie należące doń budynki, ogrody i łaźnia, tak, że gdy nieużyteczne były królom, postarał się o nie u króla Jana Kazimierza i otrzymał je w dzierżawę wieczystą Teodor Denhoff, a później odstąpił je marszałkowi nadwornemu Stanisławowi Lubomirskiemu.

Lubomirski najprzód wystarał się u sejmu, aby to wszystko jako „grunta Jazdowskie” darowane mu na własność zostało, a potem sprowadził z Włoch znakomitych różnego rodzaju artystów, i w tem miejscu gdzie dzisiejszy Ujazdowski szpital stoi, a gdzie w wieku XIII wedle wzmianek kronikarskich leżało miasto Jazdowo a gdzie potem, za Jana Kazimierza już istniała mennica Tytusa Liwiusza Boratiniego, wysta-

wił Lubomirski pałac, tak przepyszny, że zagraniczni podróżnicy nadziwić mu się nie mogli, i wzmiankowali w swych pismach, iż stawiał go najznakomitszy z uczniów Michała Buonarotti'ego sławnego budowniczego, rzeźbiarza i malarza włoskiego. Podówczas to i łaźnię tu-tejszą czy łaźienkę podźwignął Lubomirski i wspaniale wewnątrz urządził i ozdobił; urządził też na nowo i ogrody zwierzyniec.

Natenczas August II król polski przypatrzwszy się bliżej temu miejscu, wziął znów od Lubomirskiego w dzierżawę całą tutejszą okolicę, to jest Jazdów z przyległościami, i zajmwszy się szczególnie łaźienką, cuda zbytku i wygody porządził wewnątrz; otoczył ją zewnątrz kanałem, kazał zwierzyniec napełnić zwierzem przeróżnem, i przepyszne a częste wyprawiał tu polowania.

Za Augusta III wielcy panowie dalej urządzali sobie w łaźience tutejszej zabawy, ale król sam nie dbał o to, aż dopiero stolnik litewski Stanisław Poniatowski słynny znawca piękności poznał się na łaźience i jej otoczeniu, i kupił od

Lubomirskich całą tutejszą okolicę, to jest Łazienki z je otaczającym parkiem, dawnym zwierzyńcem i Ujazdów z przyległościami, r. 1764. Gdy Stanisław Poniatowski został królem, zebrał najznakomitszych artystów miejscowych i zagranicznych i Łazienki, pod kierunkiem głównym Dominika Merlini'ego, zostały stanowczo, a świetnie i gustownie przerobione na prawdziwy pałac letni królewski, przyczem urządzono odpowiednio całą okolicę.

Po śmierci Stanisława Poniatowskiego i po śmierci księcia Józefa Poniatowskiego, który, kilkakrotnie ranny, zginął w nurtach rzeki Elstery, T. Tyszkiewiczowa ich spadkobierczyni sprzedała Łazienki z przyległościami Cesarzowi Aleksandrowi I. Takie są jak najkrócej zebrane dzieje tego pałacu, który pójdźmy teraz wewnątrz obejrzeć.

To powiedziawszy, staruszek wstał i poszedł z Gustawem do pałacu, oprowadzany przez służbę, a sam tłómaczył uczniowi swemu wszystko, co wymagało tłómaczenia.

Tak przepędził Gustaw jedną niedzielę, a w inne zwiedzał z coraz bardziej lubiącym go emerytem-nauczycielem biblioteki, istniejące w Warszawie, gabinet zoologiczny, pracownie i wystawy malarskie i rzeźbiarskie, starożytne kościoły, o których profesor wypowiadał, jak z książki, całe ustępy historyczne.

Kiedy indziej latem i wiosną bywali znów w niedzielę w kościołku na Woli, .. na Powązkach, na Bielanach, w Jabłonnie i innych, otaczających Warszawę miejscowościach, o których możnaby dużą książkę historyczną napisać, zebrawszy to tylko, co profesor z powołania, opowiedział uczniowi z zamięłowania, o każdej z nich, na miejscu.

XVI.

Początek spłaty długów.

— A ty co tu robisz? To ty chyba nie jesteś już w drukarni?

— I tyś chyba już nie w cukierni, kiedy tu jesteś?

— Jabym chciał tu w kantorze dostać jakie porządne miejsce. choćby służbę jaką po prostu, byle dali jeść, zapłacili, i robić nie kazali, to już więcej nie żądam.

— To i ja tak samo, doprawdy; człowiek gotów poprzestać na małym bo mu bieda dokuczyła.

— Oj to to; jak się bieda czepi, to rób co chcesz, a nie odegnasz. Tak to ze mną było w cukierni, mój „stary”¹⁾ czepił się mnie, nie wiedzieć za co; czy się gdzie za posyłką zabawiłem dłużej, czy w cukierni, zagadawszy się z drugimi nie uważałem, że goście wołają, już miałem krzyk i groźby, że mię wypędzi. Aż raz zjawił się jakiś dzieciuch proszący o miejsce i stary powiedział, żebym szedł precz, że jego przyjmie. Wtem Janek posługacz mrugnął na mnie, wybiegliśmy przez podwórze w bramę i, gdy ów dzieciuch przechodził ulicą, wyszedłszy z cukierni,

1) Tak chłopcy rzemieślniczy mają nieprzyzwoity zwyczaj nazywać swych majstrów i panów.

wciągnęliśmy go w bramę i poszturchali trochę, ażeby nie przyszedł więcej chleba mi odbierać.

Wtem ktoś obcy zobaczył, krzyku narobił, nas przytrzymał, ludzi się nazbiegało, wzięli nas do cyrkułu, a tam dopiero pokazało się, że Janek dawniej już coś zbroił, więc zaraz mnie posądzono o współnictwo z nim i miałem kłopot, a jak mojego starego cukiernika powołali na świadka, jak się o mnie rozniosło, że byłem o coś tam złego posądzony, to mię już żaden cukiernik przyjąć nie chciał i do tej pory miejsca sobie porządnego znaleźć nie mogę. A to wszystko przez tego Gustawa!

— Gustaw? Czy nie Wojczyński przypadkiem?

— A Wojczyński! Albo go znasz?

— O, i jak! Wszak i ja przez niego miejsce w drukarni straciłem. Pchnąłem go raz w błoto głębokie, gdy biegł z gazetami, ot tak po przyjacielsku, ale to wielki pan, on się z nami nigdy nie przyjaźnił, zaraz się to doniosło do jego „starego”, a ten poskarżył przed moim, że ja

kilkadziesiąt numerów jego gazety w błoto wrzuciłem, niezaczepiony przez nikogo; i zaraz mój stary, żeby z tamtym przyjaźń zachować, wypędził mię z drukarni. A wszystko przez tego Gustawa. A on teraz na pana wyszedł, ledwo do kaszty dorósł, już z niego zecer!

— Zecer!.. to dopiero musi zarabiać!

— Ale jak! Bo tak pracuje i od rana do nocy i w nocy, że aż strach, a skąpi sobie aż zgroza; papierosa nie pali, ledwo że kolegę poczęstuje czasem, tylko pracuje, a pracuje.

— Toż on chyba pieniądze musi zbierać, kiedy taki skąpiec, bo zecer dobrze bywa płacony.

— Wszyscy tak mówią, że zbiera i że ma już duży grosz i przy sobie nosi, żeby mu kto nie porwał.

Tak rozmawiali z sobą, siedząc beczynn timer w kantorze służących, dawny cukierniczny chłopak Wit, i dawny chłopak z drukarni, Franek. A wtem szepnie Wit:

— Patrzaj, patrzaj, wszak to Janek tam na ławce siedzi!...

— A prawda, ale wiesz co, udajmy, że go nie widzimy, bo nic dobrego z jego towarzystwa nam nie przyjdzie,—odszeptał Franek. I dwaj prawie już dorośli chłopcy, próżniacy, ale którzy jeszcze nie popełnili nic gorszego, odsunęli się od dawnego posługacza z cukierni. Ów Janek widząc, że się od niego odsuwają, udał, że ich także nie widzi, ale całą ich rozmowę słyszał doskonale i zaraz trącając drugiego, takiego jak sam, siedzącego koło siebie, szepnął mu do ucha:

— Słyszałeś?... nosi pieniądze przy sobie... Ja poznam tego Wojczyńskiego i wiem w której on jest drukarni; żeby to go można gdzie przyłapać?...

— A gdzie?... kiedy on tylko pracuje, a pracuje.

— O, to przecież choć w ogrodzie musi czasem spoczywać, gdyby go tak zejść a poczęstować choć takim papierosem czy cygarem, co to ty raz takim poczęstowałeś kogoś w wagonie a jak odurzał, zabrałeś mu pugilares?...

— Bah, kiedy słyszysz, że ten nie pali, a jak nie pali, to już pewno i nie pije nic odurzającego, więc jakże go poczęstować?

— E, przecież znów tak być nic może, żeby papierosa do ust nie wziął, bo by go koledzy wyśmiewali, i słyszałeś że kolegów częstuje, więc w takich razach musi i sam chyba wypalić choć jeden papieros dla koleżeństwa. Jakoś to się zrobi, tylko muszę ja dopatrzeć, gdzie by go spotkać można.

Od tego dnia, tak zwany Janek, który naprawdę był całym i to dużym Janem, pilnie śledził Gustawa, ale długo nic pożytecznego dla siebie wysledzić nie mógł, bo młody chłopak, zapracowany i zajęty, pędził co rano z Chłodnej ulicy do drukarni, a wieczorem na powrót tak spieszenie, jak wówczas gdy gazety roznosił, nie zatrzymując się nigdzie ani na chwilę, bo nie było na to czasu. Jan pilnował w południe koło drukarni, pewien, że Gustaw musi przecież chodzić gdzie do jakiej pobliskiej restauracyi na obiad, ale się grubo pomylił. Gustawowi ani się śniło o obie-

dzie; gdy inni wychodzili, on pracował dalej, oderwawszy się tylko od kaszty na chwilę, żeby zjeść kawał chleba z kawałem wędliny, lub pieczeni, co przynosił sobie w kieszeniach paltota, w ładnych metalowych pudełkach płaskich, na to umyślnie robionych, z napisami. „Jedz zdrów” „Smacznego apetytu” „Posił się po pracy” i t. p. Tak się przyzwyczaił i było mu z tem bardzo dobrze i zdrowo, i przeto odkąd przestał roznosić gazety, dostawszy zyskowniejszą robotę, przestał też i wychodzić z zabudowań drukarni, przychodząc rano tylko i odchodząc wieczorem.

Długo zatem Jan i nasadzeni przezeń, tacy jak on, krążyli próżno koło Gustawa, jak kruki czatujące na żer, nie mogąc doń się zbliżyć, aż nareszcie przypadek posłużył ich zamiarom. Pewnego wiosennego, ciepłego poranku biegł Gustaw jedną z bocznych alei Saskiego ogrodu o ósmej rano, jak co dzień, do drukarni, gdy mały ledwo dziesięcioletni, zapłakany chłopaczek w uczniowskim mundurku, z książkami i dużą

piłką pod pachą, zbliżył się do niego, prosząc nieśmiałym, drżącym głosem:

— Proszę pana, którędy to do Niecałej ulicy?..

— Zabłądziłeś w Saskim ogrodzie?—zdziwił się Gustaw—pójdź ze mną, idę w tamtą stronę.—
Poszli, a chłopczyk mówił:

— Jaby nie zabłądził, bo przecież co dzień tu bywam i nie błędzę, gdyby nie te łabędzie, ach te nieszczęśliwe łabędzie; to tak jest nie pilnować obowiązku i dać się ułudzić przyjemnościom tego świata. Mama sama zaprowadziła mnie do jednej ławki z której widać bramę od Niecałej ulicy, i powiedziała mi: „tu siedź i baw się koło tej ławki zawsze, a trafisz ztąd i do domu i do klasy”. Póki się słuchałem, dobrze było, ale kusiły mnie łabędzie, kusiły długo, bo widać je było troszeczkę zdaleka, opierałem się pokusie, aż uległem, zdawało mi się, że trafię do mojej ławki, ale jak się zapatrzyłem na łabędzie, zbliżywszy się do nich i nie wiedząc o tem, zacząłem iść brzegiem stawu, tak zupełnie straciłem kierunek i nie wiem teraz którędy do Niecałej.

— Więc dla zdrowia codziennie przepędzasz poranki z piłką w Saskim ogrodzie?

— Eh,... gdzie tam proszę pana, ja ani tknę piłki, ale mama tak myśli; straciła już mama starsze dzieci i teraz tak się okropnie o mnie boi, że broni mi się uczyć trochę pilniej i każe spać do ósmej, żebym nie zachorował, a przecież jedynie dla oddania mię do klas przyjechali rodzice do Warszawy, więc co ja mam robić, proszę pana? Zacząłem aż płakać, że się chcę koniecznie bawić w Saskim ogrodzie rano i dopiero mama myśląc, że to zdrowo będzie, odprowadza mię co dzień do tej ławki, którą na to obrała i, przykazując, żebym nie chodził do stawu, bo się boi, żebym nie wpadł, wraca do domu do swej roboty, bo nie jesteśmy bogaci, a ja się uczę. Zyskuję w ten sposób około dwóch godzin czasu, bo prosto ztąd idę już do klasy. Ale czy się to choć wszystko powiedzie? O, Boże,.. rodzice tak się boją, tak drżą o moje życie, ale kiedy człowiek pomyśli, że może nie dostać promocyi, to rozpacz ogarnia i lepiejby umrzeć odrazu! A! a to

moja ławka! dziękuję panu, dziękuję! Oto Niecała ulica!

— Jakto, i ty od tej ławki zaszedłszy do stawu, mogłeś już zabłądzić? Ileż masz lat?

— Dziesięć, proszę pana,.. ale ja jeszcze jak żyję, nawet na wsi, nie wyszedłem za dom bez mamy, dopiero teraz dla tej nauki tak się wyprosiłem, to też zaraz zabłądziłem.

Tak mówiąc, delikatny, nieśmiały chłopczyzna rumienił się zawstydzony, widząc zdziwienie Gustawa, który myślał o tem właśnie, że, będąc w wieku tego chłopca, biegał już z paczkami od kupca po całej Warszawie i nie zdarzyło mu się zabłądzić.

Ale przypomniawszy sobie, że wtedy od roku był w twardej szkole życia, Gustaw przestał się dziwić pieszczonemu dziecku i rzekł:

— Czy ty nie masz korepetytora, kochanie?

— Nie, proszę pana, miałbym gdybym poprosił, ale ja owszem nie poproszę, bo dobrze wiem, z jaką trudnością przyszłoby to rodzicom.

— A więc, jeżeli chcesz, to ja będę darmo twoim korepetytorem, byleś tylko umiał z mojej pomocy korzystać: widzisz tę ławkę na boku o dziesięć kroków od twojej? trafisz—że od niej do twojej? nie zabłądzisz znowu?.. Tu będę co dzień czekał na ciebie, bo nie chcę czekać na twojej, ażeby nie spotkać się z twoją mamą, gdyż wtedy wydałoby się, że ty się tu uczysz, zamiast bawić. Czy zgoda?

— I.. i... i... panby naprawdę mię uczył?— spytał chłopczyzna ze łzami w błyszczących radością oczkach, a widząc potwierdzenie swego pytania w twarzy Gustawa, wyciągnął do niego obie ręce gestem pieszczonego dziecka, tak zapewne, jak do ojca swego zwykł był je wyciągać po uścisk. I Gustaw, przypomniawszy sobie, że tak samo niegdyś rączki do swego ojca wyciągał, poczuł silniej bijące serce, schylił się i uściskał serdecznie malca, tak jak jego samego, w wieku tego malca, nikt już nigdy nie ścisnął.

Gustaw miał już wtedy lat dziewiętnaście, był wykształconym młodym człowiekiem. Jakkol-

wiek w klasach nie był, przecież nie obce mu były nawet system i rutyna szkolne, gdyż uczył go przecież profesor i to emeryt, a więc tem systematyczniejszy. Zajął się tedy młody korepetytor serdecznie i umiejętnie małym uczniem, bardzo zadowolony, że w ten sposób zaczynał narazie spłacać te wielkie istotnie długi, jakie pozaciągał od lat dziesięciu u zacnych ludzi.

XVII.

Zosia spłaca swoje długi.

Nauka w Saskim ogrodzie trwała przez wiosnę i lato, bez przerwy. Mały Edzio dostał promocyję jedynie dzięki „najdroższemu panu” jak nazywał Gustawa i po prostu w nim się zakochał. Byłby już dawno, to jest zaraz po otrzymaniu promocyi rozpowiedział całą tajemnicę rodzicom, gdyby mu Gustaw był surowo tego nie zakazał.

Młody zecer widział, że gdy słoty i zimna nastaną, lekcycje się przerwą do przyszłej wiosny i uniknąć chciał podziękowań rodziców malca.

Tymczasem starał się wpływać na niego nie tylko pod względem naukowym, ale także usiłując dodać mu hartu i rozbudzić samodzielność. Trudno to jednak było; a Gustawowi nieraz i śmiać i płakać chciało się razem, wobec różnych drobnych sprawek i wydarzeń, dowodzących dziwnej niezaradności i ślamazarności chłopczyzny, który mając najlepsze zasady i dużo zdrowego rozsądku obok wrodzonej inteligencji, nie umiał jednakże ani tego wszystkiego zastosować, ani korzystać z tego w praktycznym życiu, ponieważ ani na chwilę nie był zmuszony do samodzielnego działania.

Tak, pracowicie urozmaicone, snuło się życie Gustawa, gdy niespodziana okoliczność zamąciła jego systematyczny porządek.

Siedemnastoletnia Zosia Wojczyńska skończyła już świetnie sześcioklasową szkołę, odbyła dwa lata przygotowawczego nauczycielstwa w niższych klasach i zdała egzamen na nauczycielkę, gdy pani Ikska, kobieta silna i zdrowa, której nie szkodziły nigdy praca i trudy, zacho-

rowała nagle ciężko ze zmartwienia, którego powodem były wypadki nieszczęśliwe, zaszłe we własnej jej rodzinie, a przede wszystkim śmierć jedyne go ukochanego syna. Gdyby przełożona była chorowitą, może otoczenie jej przywykłym byłoby do dawania sobie rady bez niej chwilowo, ale przyuczone do biernej uległości pod jej doświadczoną i krzepką dłoń, gdy zostało na raz jeden pozbawione tego kierownictwa, nagle znalazło się w takim położeniu, jak nienakręcony zegar. Nikt nie wiedział co czynić, a przede wszystkim, nikt nie chciał brać za siebie odpowiedzialności za podjęcie kłopotliwej pracy, do której obowiązany z prawa nie był. Nikt prócz Zosi. Ona jedna, przez lat dziesięć żyła się z rutyną i sposobem prowadzenia zakładu pani Ikskiej, widząc rozprzęgający się nagle wszelki ład i porządek, widząc to bezkrólewie, zagrażające ostateczną ruiną interesom opiekuńki, bez namysłu chwyciła w młode dłonie, wodze wypuszczone z ręki. Dzieląc się pomiędzy pielęgnowanie chorej i zastępowanie jej

w obowiązkach przełożonej, młoda nauczycielka byłaby niechybnie podołała zadaniu, bo i dla niej życie było szkołą, dającą wczesny rozum i samodzielność, gdyby nie niechęć i zawiść koleżeńska. Inne liczne nauczycielki uczyły się dotkniętymi w swej dumie, gdy najmłodsza z nich, uboga wychowanka szkoły, nieznana z rodziny, chciała przywłaszczyć sobie nad nimi zwierzchnictwo jakoweś. Nikt nie chciał wierzyć, że Zosi o nic innego nie idzie, jak tylko o dobro opiekunki, nikt nie chciał zawierać z najmłodszą z nauczycielek układów na czas dalszy, które przecież koniecznie zawartymi być musiały, jeżeli zakład naukowy istnieć miał na rok następujący; a tymczasem choroba i to co za nią idzie, pochłaniało dochody i oszczędności zakładu. Cała energija Zosi, wspieranej na szczęście w każdej chwili czynną pomocą i radą brata, zdołała zaledwo uratować chorą i odwlec upadek jej majątkowy do końca roku szkolnego. Przyszła nareszcie chwila, w której po pożegnaniu z uczennicami i całym składem szkolnym, rozjeżdżającym

się na wakacje. Powracająca za ledwo do życia przełożona pozostała sama, prócz nielicznej służby, z jedną tylko Zosią w dużym i wykwintnie urządzonej mieszkaniu, które za parę tygodni należało opuścić. Nikt o tem nie mówił głośno do przełożonej, ale każdy wiedział dobrze, że jeden ze słynniejszych i najbardziej wziętych zakładów naukowych żeńskich musi przestać istnieć, dla braku materyjalnych zasobów.

— Cóżby stało się ze mną, gdybym nie miała ciebie!..—szepnęła chora, biorąc lekarstwo i posiłek z rąk Zosi,—zginęłabym.

— Oby się tylko moje dobre chęci na co przydały, jęknęła młoda dziewczyna zalewając się łzami.

— O, tak!—odrzekła—bo najprzód uratowałam z rozbicia wiarę w ludzi, patrząc na ciebie i wysiłki twoje; a potem przecież w tobie mam córkę ukochaną, a więc skarb, jakiego nie oddałabym za dawne moje powodzenie, bo przecież teraz ty mię nie opuścisz?

— Nigdy! pani.

— A więc spieniężę wszystkie resztki mego mienia, i żyć będziemy we dwie w skromnem mieszkanku, dając lekcyje na nasze utrzymanie, spokojnie, kto wie, może z czasem szczęśliwie jeszcze, przez ciebie; wszak pozostał mi szacunek ludzki i czyste sumienie.

— No, i sumka przecież okrągła, acz nieduża, ale i tyle przydać się może tymczasem!—wesoło dodał młody człowiek, starannie ubrany i pełen ujmującej swobody, który wszedłszy bez oznajmienia, dosłyszał ostatnich słów i odpowiadał na nie, witając panią domu z należnem uszanowaniem.

— Gustaw!—zawołała Zosia rzucając się bratu na szyję.—O jakiej sumce mówisz?

— Oczywiście o tych kilku tysiącach, jakie, wedle naszej dawnej z przed dziesięciu laty umowy, pani Ikska ma u mnie za twoje wychowanie,—odrzekł Gustaw.

— Nie bądź też dzisiaj dzieckiem większem niż byłeś przed dziesięciu laty, mój kochany

chłopcze, — rzekła po macierzyńsku była przełożona. — Niepodobna przecież, abys nie rozumiał dzisiaj, w jakim celu zawierałam wówczas z tobą tę umowę: chciałam zachęcić cię do pracy i wysiłków, wskazując ci ich cel bezpośredni a obowiązkowy; ale niech mię Bóg broni, abym w istocie miała odzierać cię z twoich oszczędności, ciężką nad dziecięcę siły, pracą zebranych. Jeżeli komu, to właśnie tobie, w twoim zawodzie potrzebny jest mały kapitalik, konieczny na założenie własnej drukarni. Oto jest właściwe pomieszczenie dla twego mająteczku, moje dziecko, i spodziewam się, że nie zechcesz robić mi przykrości, przecząc mi w tym względzie. Co do Zosi, to bądź przekonany, że ona swoją pracą nauczycielską wypłaciła się dawno za naukę; a co do wychowania, to ja tego jej nie dałam: wiercie mi oboje, że w was obojgu do dzisiaj odzywa się jedynie pierwotne domowe wychowanie, dane wam przez rodziców i ich przykład, które szkoła wszelka rozwijać tylko może, ale go nie da, nawet szkoła życia, ze wszystkich najdoskonalsza.

To mówiąc uściskała pani Ikska Zosię, gestem odpychając mały pigulares który Gustaw jej podawał. Gustaw mrugnął na siostrę i rzekł:

— Niechaj i tak będzie, proszę pani; ale w takim razie, ty Zosia, weź tę sumkę i zachowaj u siebie dopóki mnie czy tobie, bo to wszystko jedno, nie będzie potrzebną; dotąd była ona złożona u mego dobroczyńcy profesora, niech teraz będzie u ciebie, bo nosić przy sobie większe pieniądze jest niebezpieczno.

Zosia zrozumiała, że brat chce, aby ona miała w ręku pieniądze te na potrzeby chorej jeszcze pani Ikskiej, i wzięła je, a Gustaw zabawiwszy z paniami o ile mu czas pozwalał, naradziwszy się z niemi co do ich dalszych zamiarów i obecnego położenia, wracał spiesźnie do siebie przez Saski ogród; spiesźnie, bo w czasie wakacyj, na dłuższym dniu, czasem nie rano, lecz przed wieczorem odbywał lekcye z Edziem, wedle tego jak im obu było dogodniej. I tym razem, szczęśliwy otrzymaną promocyją chłopczyzna, oczę-

kiwał, jak zawsze, na swojej ławie ustronnej,
 „na najdroższego pana.”

KVIII.

Rabunek i jego skutki.

Łekcyja odbyła się jak zwykle, poczem, Edzio rozswawoliwszy się, usiadł jak małe dziecko na kolanach „najdroższego pana” tak jak u ojca siadał, i wyściskawszy go ze wszystkich sił, poszedł do domu kłaniając mu się ciągle zdaleka. Wieczór się zbliżał. Gustaw wstawszy zawracał także w swoją stronę, gdy jakiś młody, przyzwoicie ubrany mężczyzna przystąpił do niego, uchylając uprzejmie kapelusza:

— Przepraszam najmocniej szanownego pana, czy mówię z nauczycielem, pedagogiem?.. Jestem ojcem, widziałem i słyszałem przypadkiem parę lekcyj pańskich odbywanych z tym chłopczykiem i... niechaj to wytłómaczy śmiałość mego pytania...

— Nie, panie; nie jestem wcale nauczycielem—odpowiedział Gustaw o mało nierozśmiawszy się, że zecer mógł być wzięty za uczonego pedagoga, przez jakiegoś rozkochanego w swoim synku tatusia, który najoczywiściej nauczyciela potrzebował.

— Ach,.. w takim razie najmocniej szanownego pana przepraszam—rzekł ów pan podając uprzejmie cygara z cygarnicą, i jednocześnie przysługując się swoim do zapalenia—ale zachwycony byłem tak dalece wykładem pańskim i sposobem obejścia się z uczniem, że... nie mogę powstrzymać się od jeszcze jednego pytania: gdzieś pan łaskawy sam pobierał nauki? kto kształcił pana mianowicie? Bo albo grubo się mylę, albo nie jesteś pan pospolitym gimnazyjalnym wychowawcą?

Gustaw przyjął cygaro, jak każdy byłby je przyjął w podobnym razie, przez pospolitą grzeczność, zapalił, pociągnął parę razy, bo choć nie palił nigdy z własnej ochoty, przecież jak zwykle ludzie rozsądni nie lubił odróżniać się od ogółu

w drobnostkach i z pozoru. I dla tego też, gdy uprzejmy towarzysz spytał, czy nie zechce spo-
cząć, Gustaw usiadł wraz z nim na ławce, do-
tknięty z najsłabszej strony, bo naprowadzony na
rozmowę o swoim dobroczyńcy, profesorze eme-
rycie. Nieznajomy troskliwy tatuś pytał kto
kształcił Gustawa?.. Jakże nie było opowiedzieć
o znakomitym istotnie pedagogu, zapomnianym
emerycie, pełnym zasług, cnót i nauki, który
cicho a bezustannie pracował dla dobra ogółu,
kształcąc dlań pracowicie pożyteczne jednostki
bez innej nagrody prócz tej, jaką we własnem
znajdował sumieniu.

Tak zacząwszy mówić, Gustaw nie spostrzegł
wcale kiedy maćć mu się zaczęły myśli, i drze-
wa i ludzie zacierać i mieszać ze sobą, aż stracił
zupełnie samowiedzę. Noc zapadała...

Kiedy wrócił do przytomności, siedział długo
nieruchomy zbierając myśli i nie mogąc odga-
dnąć, gdzie jest i co się z nim dzieje.

Dopiero wznowiony ruch ludzi powracających
z teatru wpłynął cokolwiek na otrzeźwienie go

i niejako wskazał mu co czynić należy: wstał z trudnością i wyszedł z ogrodu idąc z innymi. Po ulicach błąkał się długo zanim trafił do domu, a tam dopiero stara Janowa, gospodyni profesora zwróciła jego uwagę na nieład ubrania, powywracane kieszenie i pokrajaną podszewkę, i przerażona jego bladością trzeźwić go zaczęła.

Nazajutrz dopiero Gustaw jasno zrozumiał, że tkliwego ojca udający rzezimieszek upoił go jakimś narkotycznym cygarem, i zrabowa-wszy ze skromnego zegarka i portmonetki z kilkunastu złotemi, wyraźnie szukał więcej. Dowiedziawszy się o tem wszystkim i wybadawszy jak się rzecz miała, profesor rzekł:

— Do wykształcenia się na dorosłego człowieka brakło ci jeszcze nieufności przeciw porywom własnego serca, którą w tym wypadku powinienś zyskać, bo ty nie amator cygara i nie łatwy do lada gawędki, nie byłbyś się w nią wdał z pewnością, gdyby rzezimieszek, znający cię widocznie, nie ujął cię z najsłabszej strony, zaczepiając o tego, kto cię kształcił. Nie powtarzasz

mi dosłownie tego coś mówił, bo sam nie pamiętasz, ale już ja się domyślam coś wygadywał o mnie, tak jak wygadywać masz zwyczaj, a tymczasem pociągnęło się parę razy cygara. Szczęście jeszcze, żeś twój krwawo zapracowany grosz odniósł już siostrze, bo jego to szukano przy tobie niemylnie.

Gustaw istotnie uszczęśliwiony był, że stosunkowo tanim jeszcze kosztem nauczono go ostrożności; aż wtem idąc do roboty przypomniał sobie, że w portmonecie miał los na loteryję klasyczną, który trzymał razem i wspólnie z wszystkimi kolegami w drukarni, dla koleżeństwa, bo zresztą sam w pracę tylko ufał, nie zas w przypadek. Przypomniawszy to sobie, Gustaw pobiegł natychmiast gdzie należało i porobił odpowiednie zastrzeżenia, co do zrabowanego numeru, aby rabuś, w razie wygranej, nie mógł zeń korzystać. W parę godzin później sam własnoręcznie składając do jednego z pism czcionki jako zecer, znalazł w sprawozdaniu z ciągnięcia lote-

ryjnego z tegoż dnia, tenże numer, jako wygrywający znacniejszą sumkę.

Był to figiel jakie los lubi płać ludziom, bo Gustaw, gdyby był sam jeden trzymał ten bilet, byłby się teraz mniej zmartwił, iż go stracił, niż wobec odpowiedzialności jaka zaciążyła na nim tak niespodzianie względem kolegów. Wprawdzie zastrzeżenia były już porobione, ale mimo to Gustaw niespokojny był bardzo, nie znając się na loteryjnych manipulacjach, czy i tak mimo ostrożności, rabuś nie potrafi odebrać pieniędzy z wygranej, która padła na numer znajdujący się w jego ręku.

Zaledwo więc dopełniwszy swej czynności wybiegł Gustaw na miasto, spiesząc do ławki w ogrodzie gdzie i dzisiaj Edzio czekał na „najdroższego pana”, opowiedział chłopczynie swój wczorajszy wypadek i dzisiejszy kłopot, jako przykład dla jego nauki i zapowiedział, że dzisiaj lekcyi być nie może, ponieważ trzeba jeszcze biedz do kantoru loteryi i do urzędu loteryjnego,

aby się dowiedzieć, czy rabuś nie zgłosił się z biletem.

— Do urzędu loteryjnego?—powtórzył Edzio wzruszony do łez wczorajszym wypadkiem nauczyciela—mój ojciec pracuje w urzędzie loteryjnym właśnie, gdyby pan do ojca poszedł, toby ojciec najlepiej pana objaśnił: idź pan do mojego ojca, mój najdroższy panie!

— A jakże nazywa się twój ojciec?—spytał Gustaw, który pożałował w tej chwili, że unikał dotąd poznania rodziców chłopczyka, powodowany delikatnością, chcąc w cichości i nieznanym, placić szlachetne swoje długi.

— Gustaw Wojczyński!—odpowiedział chłopczyk.

Długa chwila minęła, zanim Gustaw zatoczywszy się i wsparłszy o drzewo ochłonął do tyła, że mógł myśli zebrać po tak niespodzianem usłyszeniu imienia i nazwiska swego ojca.

— A mamie twojej jak na imię?—spytał po chwili.

— Zofija!... ale panie, co panu jest? Pan okropnie zmartwić się musiałeś!—pytał Edzio z płaczem.

— Imię mojej matki!—myślał Gustaw,—ależ to nie podobna, bo ja nigdy brata nie miałem!

Ale obrachowawszy się z latami, uściskał Edzia tkliwiej niż zwykle i rzekł:

— Nie bój się, nic mi nie jest; wracaj prosto do mamy, nie zbaczaj ani na krok z drogi, żebyś nie zablądził, a ja pójdę po informację loteryjne do twego ojca.

Poszedł i wypytawszy o Gustawa Wojczyńskiego, wszedł do właściwej sali, a tam zdaleka wiodąc okiem po zajętych przy biurkach urzędnikach, poznał od razu, mimo siwych włosów, rodzzonego ojca. Nie mogąc zdobyć się ani na słowo ani na myśl, postąpił kilka kroków i stanął przed biurkiem ojca. Starszy Wojczyński podniósł głowę i chciał zapytać interesanta czego żąda?.. ale wzruszenie widoczne na twarzy młodego człowieka, zawiele mówiło; jego oczy, oczy matki zwrócone na ojca zanadto były czytelne...

Ojciec patrzył weń przez chwilę jak odurzony wspomnień czarem, aż w dorodnym młodzianie poznawszy opłakane dziecko, z krzykiem i szlochem rzucił mu się na szyję, wołając:

— A Zosia?

XIX.

Chwila bezdennych wzruszeń.

— Co tobie!...—krzyknęła matka na widok wchodzącego zapłakanego Edzia.—O Boże, mój Boże, znów się coś stało! Otóż to spuszczać dziecko z oka na chwilę choćby.

— Ale mnie nic nie jest, nie matusiu, tylko panu,.. pana nieszczęście spotkało...—szlochał.

— Jakie nieszczęście? Synku mój, dziecię moje, jedynaku mój, opowiedz co tobie, czego płaczesz?

Wzięła go na kolana, uściskała rozplakawszy się sama, utuliła, i nareszcie ciężka jak centnar centnarów i długa jak wiek tajemnica nurtująca Edzia przez całą wiosnę i całe prawie lato, wyda-

ła się mimo zakazu „najdroższego pana” i wśród łez i uśmiechów, przelaną została w postaci opowiadań bez końca, w serce matusi.

Pani Wojczyńska zdziwiła się i zakłopotowała mocno. Przekonawszy się, że Edziowi nic się nie stało na ten raz, przyzwyczajona do ciągłych przykrych niespodzianek losu, zaczęła obawiać się tego dziwnego stosunku, jaki Edzio zawarł w ogrodzie z kimś nieznanym.

Nieszczęście czyni ludzi podejrzliwymi i trwożliwymi i dla tego nie trzeba dziwić się, że pani Wojczyńska, pozbawiona niespodzianie wraz z rodziną środków istnienia, a potem straciwszy całą swą pociechę, całą treść życia i przyszłość i nadzieję w postaci dwojga ukochanych dzieci, zaprzepaszczonej kędyś podczas jej ciężkiej choroby, stała się teraz nieufną i lękliwą bez granic. I właśnie „najdroższy pan” Edzia, obudził naraz wszystkie jej trwogi, bo zdawało się biednej tej matce, że to nieszczęście które wydarło jej dwoje dzieci, czycha teraz na trzecie i ostatnie, które dał jej Pan Bóg na pociechę po tamtych. Więc

podejrzewała „najdroższego pana” i lękała się go, sama nie wiedząc dobrze, dla czego się lęka i płakała rzewnymi łzami, bo wszystkie jej dawne z przed dziesięciu laty cierpienia odżyły, gdyż mały Edzio, choć ukochany także, nie zdołał przecież nigdy pocieszyć biednej kobiety po starszych dziatkach. I dla tego to pani Wojczyńska płacząc rzewnie dawnymi łzami, mówiła powodowana nową nieokreśloną obawą:

— To być nie może, tak sobie, bez przyczyny, w tem coś jest—ten młody, śliczny pan, jak go nazywasz, ten najdroższy pan, nie byłby zaczepił ciebie w ogrodzie, gdyby w tem nie miał jakiegoś własnego interesu.

— Ale matusiu, kiedyż on mię nie zaczepił wcale, tylko ja, ja jego zaczepiłem, pytając o drogę do Niecałej ulicy!—tłómaczył się Edzio.

Nie puszczę cię więcej samego na Warszawę, kiedyś się już raz zabłąkał!—łamiąc ręce postanowiła biedna matka,—będę cię sama odprowadzała aż do klasy, a z powrotem posyłać będę służącą po ciebie.

— Ależ matusiu, tak nie można!—krzyknął przestraszony chłopiec. — Koledzy wyśmieliby mię, że się matusinej spódniczki jeszcze trzymam, albo że z niańką chodzę! Daleko młodszy ode mnie chodzą sami z drugiego końca Warszawy, i ja już więcej nigdy nie zabłądzę!

Na takich porozumiewaniach i umowach schodził czas matce i synkowi.

Pani Wojczyńska przestała przecież łamać ręce, a zabrała się do przerwanej roboty; zasiadła do maszyny która znów warczeć głucho zaczęła jak warczała tu od rana do nocy, bo biedna kobieta szcieniem zdwajała skromny dochód męża, i tak z największym otrzymywany trudem.

Tymczasem chwile biegły i wkrótce wybiła godzina o której Wojczyński wracał do domu na ubogi obiad, nie spóźniając się nigdy, bo zawsze stęskniony był do tego jedyne go dziecięcia, które kochał całą duszą, choć zawsze całą duszą także i za dwojgiem zaginionych tęsknił. Żal ojca był nawet przykrzejszym jeszcze od żalu matki, bo Wojczyński do dziś dnia miał na własnem sumie-

niu stratę dzieci, wymawiając sobie, że je jakby naumyślnie na zatracenie posłał z nieznanym prawie izraelitą, który przepadł następnie tak samo jak i dzieci.

Otóż dzisiaj zwykła godzina wybiła a ojca nie było. Matka wstawszy od roboty przygotowała nakrycie i znowu zasiadła do maszyny, a po chwili, spoglądając coraz częściej na zegar, zaczęła na nowo niepokoić się coraz bardziej, w miarę posuwania się wskazówek.

— Cóż to znów znaczy, że ojciec nie wraca— mówiła w pół do siebie w pół do Edzia—oby go tylko co przykrego nie spotkało!

Edzio niepokoił się coraz bardziej w miarę upływających chwil, ale jemu, pomimo, że wszystkie obawy matki podzielał, chodziło przecież głównie o „najdroższego pana”.

— Nic innego—myślał sobie chłopczyk zmartwiony—tylko jakieś tam duże kłopoty są z tym zrabowanym biletem loteryjnym, i ojciec chcąc „panu” dopomódź, zajęty jest po za swoim biurem i do domu wrócić nie może. Ach,

co też to za nieszczęście się stało, że ten bilet kupiono tak wspólnie i teraz „pan” odpowiedzialnym będzie przed kolegami! Ach!

Tymczasem gdy matka z synkiem tak się w domu martwili, ojciec ze starszym synem siedzieli na ustronnej ławce w Saskim ogrodzie, i kłopotali się także, a to dla tego, że gdy po przejściu pierwszego wzruszenia, wybiegli z biura i spieszyli prosto do domu, aby swem szczęściem co prędzej z matką się podzielić, nagle Wojczyński przystanął i kładąc rękę na sercu szepnął:

— Czekał-no dziecko moje... żeby to jako matkę uprzedzić... obawiam się... Ona tyle już wycierpiała i cierpi ze smutku i rozpacz, że się teraz już wszelkiego mocniejszego wzruszenia, nawet radości, dla niej obawiam.

Sam czuł, że radość podziałała na niego zbyt gwałtownie i przyciskał ręką serce, nie mogąc się uspokoić, tem bardziej przeto, i słusznie obawiał się o żonę.

— Co tu robić?—pytali się oba wzajemnie. Gustaw widział wzruszenie ojca i żałował teraz, że sam stanął przed nim tak nieoględnie przed chwilą; pojmował więc doskonale i uznawał za słuszne jego obawy, co do matki.

— Jeżeli ojciec pierwszy, sam jeden wejdzie do domu, matka przełęknie się pewno, zaledwo spojrzawszy,—rzekł Gustaw patrząc z czułością na bladą ze wzruszenia twarz ojca.— A, gdybym ja też poszedł?... ech,.. znówbym prawdopodobnie tak się mądrze znalazł jak z ojcem,.. zaszkodziłbym jej, zwiększając jej wzruszenie mojem własnem. A jednak trzeba do niej iść, trzeba iść jak najprędzej!

— A gdyby Zosię posłać naprzód?—zawołał nagle—Zosia tkliwie, serdecznie kocha rodziców, tęskni za nimi bardziej jeszcze dziś, gdy duszyczka jej wraz z ciałem rozwinęła się, jak młody kwiat różany, niż wówczas gdy słabem dziecięciem była. Ale Zosia, wychowana w ciężkiej i trudnej szkole życia, jakby sierota z łaski żywiona wśród mnóstwa ludzi różnego wieku,

z których z każdym trzeba było umieć żyć w zgodzie, Zosia umie panować nad sobą, umie poskromić wzruszenie własne i czynić zawsze to tylko, co każe zdrowy rozsądek... Zosię poszlijmy do matki, Zosię trzeba uprzedzić najprzód.

— Idźmy do Zosi—rzekł Wojczyński, wstał, ale musiał wesprzeć się na ramieniu syna, a wyszedłszy z ogrodu wzięli dorożkę, aby zyskać na czasie.

— O Boże—szeptał ojciec—czyliż ja, który pierwszy przyczyniłem się do waszego zaginięcia godzin jestem, abym pierwszy, wprzód niż matka, was oglądał!

— Najmniejszej winy twojej nie było w tem wszystkim, mój ojciec—zapewnił Gustaw, poczuwszy już, chociaż nie dawno rozmawiał z ojcem, że on strasznym, acz niesłusznym, od lat dziesięciu dręczył się wyrzutem;—to co się stało z nami, było jedynie zrządzeniem Opatrzności, kierującej losami człowieka. Tak samo nie mogłeś przewidzieć przed straceniem urzędu, że go postradasz.

— Kto cię wychowywał? Kto cię tak myśleć i czuć nauczył? Czy i Zosię taką znajdę?

— Nie taką; dziesięć razy więcej wartą jest Zosia. Uczyliśmy się w szkole życia, i życie samo nauczycielem naszym było, ale zasadę myśli i uczuć wynieśliśmy z domu rodzicielskiego.

— A ona gdzie, gdzież jest? U ciebie? A ty jakże żyjesz?—pytał ojciec rzucając pytanie na pytanie, nie wiedząc nic o Zosi, prócz, że jest zdrowa i dorosła, bo tyle tylko zdążył Gustaw odpowiedzieć w pierwszej chwili poznania na pierwsze jego pytanie:

— A Zosia?

A wtem stanęła dorożka przed domem w którym mieszkała jeszcze pani Ikska.

XX.

Wychowanka szkoły życia.

— Zosiu!—zawołał młody człowiek wpadając jak huragan do wykwintego jak dotąd

— Słucham cię braciszku...—odpowiedziała Zosia, najspokojniej na pozór, powstając z kanapki, gdzie siedziała obok chorej jeszcze pani Ikskiej. Nie skoczyła bratu na szyję jak zwykle, tylko wstawała powolna, prawie majestatyczna, gdyż pierwszy okrzyk jego i samo burzliwe wpadnięcie, zapowiadało jakiś wypadek niezwykły, a więc coś niedobrego, jak sądziła, przyzwyczajona do nieszczęścia Zosia.

— Eh, jakież ze mnie waryjat, że tak wpadam,. przepraszam panią—powiedział Gustaw całując rękę p. Ikskiej—ale bo ojciec... to jest...

— Co tobie, moje dziecko?—spytała p. Ikska, badawczo weń się wpatrując.

— Ojciec? omyliłeś się zapewne; co chciałeś powiedzieć bracie?—spytała Zosia jeszcze bardziej spokojna na pozór, ponieważ coraz bardziej zaniepokojna w istocie, widocznym Gustawa rozstrojem.

— Nie, nie omyliłem się, mam ci powiedzieć nowinę... bardzo dobrą...—zaczął, usiłując mówić rozsądnie.

— Ojciec?.. a matka?..—szepnęła gwałtownie postępując ku niemu.

— Żyją oboje!.. przychodzę do ciebie właśnie po zdrowy i zimny rozsądek, ponieważ sam go tracę z radości—wypowiedział nareszcie...

— Siadaj!—rzekła p. Ikska widząc, że młody człowiek chwieje się.

— Dziękuję pani,.. ojciec...

Zosia przetrzała chustką czoło i oczy i przystąpiła do brata, kładąc rękę na jego ramieniu:

— Gdzie matka? tu, w Warszawie?—spytała.

— Tak, o kilka ulic ztąd,.. potrzeba, abyś do niej poszła.

— Ojciec?—spytała spoglądając na panią Ikską i jednocześnie sięgając po kapelusz niedawno porzucony na kanapce.

— Tu, w pierwszym pokoju...

Wionęła jak liść wiatrem powiany, otworzyła drzwi, i już była w ojca objęciach, zaledwo zostawiwszy sobie czasu na jeden rzut oka, którego upewnił ją, że miała przed oczyma tego, którego

siedmioletnia świeża dziecinna pamięć rysowała jej tak wyraźnie.

— Zosia? ty? Jestże to Zosia?... Nie, ciebie nigdybym nie poznał!...—jęknął biedny ojciec.

— Za to ja cię poznaję tatusiu, a to wystarczy—odparła z uśmiechem łzami oblanym.—
A matka?

— Chcemy, żebyś ty pierwsza zobaczyła matkę, bo ja,.. nie potrafię,.. a ona bardzo jest znękana...—powiedział Gustaw stając przed nimi.—Oto adres...

— Idę!—zawołała biegnąc już na dół, skinieniem, spojrzeniem porozumiewszy się z p. Ikską.

— Ale ty nie odstępуй ojca! Za kwadrans najdalej przybywajcie za mną!—zawołała już z dołu. I obaj Wojczyńscy zaledwie przywitawszy p. Ikską, pospieszyli za Zosią.

W małym mieszkanku Wojczyńskich właśnie matka i synek w najwyższym niepokoju oczekiwali na ojca, gdy dorożka zatrzymała się przed domem i służąca, mniej niż skromna, oznajmiła „jakąś młodą panią”.

— Proś... — niechętnie rzekła Wojczyńska — to pewnie ta jakaś pani, która chce duży zapas bielizny dać do szycia; mówiono mi o niej w sklepie.

Młoda, śliczna pani wykwintnie ubrana, o pół głowy wyższa od pani Wojczyńskiej, weszła zwolna, rozglądając się bacznie na okół jakby tu kogoś lub czegoś szukała.

— Aha! — pomyślała Wojczyńska — jak się to rozgląda ta strojnisia, pewno jej się nie podoba zbyt skromne gospodarskie urządzenie mieszkania, zamiast wykwintnej pracowni, której się spodziewała, i nie będzie miała zaufania, ażeby powierzyć mi wyszukane swoje stroje nocne i poranne... Nie lubię mieć do czynienia z nazbyt strojnymi damami.

— Czy tu pani Wojczyńska? — spytała nowo przybyła patrząc na panią domu z dziwnem zajęciem i wyraźnie wiedząc do kogo mówi, a pytając tylko dla zwyczaju.

— Ja jestem... — z lekkim, obojętnym ukłonem odpowiedziała Wojczyńska i zamilkła nagle,

wpatrując się w nieznajomą, która jej się właśnie jakby gdzieś kiedyś już widzianą i znaną wydała, tem bardziej, że i ta nieznajoma z zajęciem niewytłómaczonem przyglądała się pani domu.

— Pani zapewne w interesie bielizny,.. ale przepraszam, czyliż byłabym już znaną pani?— spytała Wojczyńska, niepewnym głosem, nie wiedząc jak wytłómaczyć sobie milczące a jakimś powściąganem wzruszeniem nacechowane obejście nieznajomej.

— Tak pani, znałyśmy się kiedyś bliżej, i mam nadzieję, że znowu blizkie zawrzemy stosunki, gdy ja się pani w imię dawnej znajomości przypomnę!— stanowczo i z mocą rzekła młoda nieznajoma, patrząc gorejącemi uczuciem oczyma w oczy biednej znękaney kobiety. Nie myślę zresztą zwodzić pani, nie przybywam wcale w interesie bielizny, lecz tylko z nowiną, z bardzo dobrą i pożądaną dla pani nowiną, z którą dla tego właśnie wysłano mię do pani, iż,.. miano nadzieję, że moje pośrednictwo miłem będzie dla pani, gdy mię poznasz... i złagodzi wrażenie..

Cedząc te wyrazy, słówko po słówku, z uśmiechem na różanych ustach i ze łzami w fijołkowych oczach, młoda nieznajoma, siedząc tuż obok pani domu, przymilała się do niej w sposób właściwy niektórym pieszczonym kociętom i dziewczynkom; była taka rozkoszna, że na znękaniej twarzy Wojczyńskiej wyblysł bezwiedny prawie uśmiech pod działaniem tej świeżej wiosny.

— Aha, uśmiechasz się pani? to dobrze,—szepnęła nieznajoma,—a teraz przyrzecz mi tylko, że się nie poddasz zbyt radości, tak jak wiem, żeś się bez miary niegdyś poddawała rozpaczy, gdy ci dzieci zginęły, a powiem z czem mię przysłano: po prostu rodzina lęka się zbyt nich wzruszeń dla pani.

— Przysłano? moja rodzina? ale któż pani jesteś? Nie, jeżeli naprawdę czeka mię jeszcze chwila radości w tem życiu, to nie chciej ją pani odwłóczyć!..—cicho powiedziała Wojczyńska i dodała blednąc mocno—wspomniałaś o moich dzieciach?..

Nieznajoma pochylona ku niej w tej chwili i wpatrzona w jej oczy, mrugnęła tajemniczo fijołkowemi oczyma z których spadły dwie lzy perliste i zupełnie mimowoli przytuliła różowe ale drżące usta do jej ręki, wspartej na poręczu fotelu. Wojczyńska niewytłómaczonem powodowana wzruszeniem pochwyciła ją i przycisnęła gwałtownie do piersi, i natychmiast prawie odsuwając się od ściskającej ją dziewczyny, zawołała drżąc:

— Nie; to przecież być nie może!

— Co takiego? W mocy Boga wszystko jest!—rzekła Zosia klęcząca u nóg matki, dawnym sobie właściwym, dzieciennym gestem wspierając się oburącz na jej kolanach.—Wszystko matusiu, nawet zginione dzieci odnaleźć się mogą, oczywiście tylko nie małemi dziećmi, po dziesięciu latach.

— Przecieżeś ty nie Zosia!—upierała się Wojczyńska, ściskając ją z całej siły i okrywając pocałunkami, a płacząc rzewnie.

— Czemu nie!—łkała dziewczyna.

— Bo gdybyś była Zosią... toby... Gucio był z tobą—szepnęła Wojczyńska.

— To też jest, ale z ojcem, a mnie wysłali na przód, bo żaden nie miał odwagi oznajmić ci szczęścia: dziwni ludzie, ja go się tam nic a nic nieboję!—z wesołym, dźwięcznym jak szklany dzwonek śmiechem dokończyła młoda dziewczyna.

— Nie lękasz się szczęścia, a więc widać, że ono ci się należy. Niechajże Bóg je da tobie!—westchnęła z głębi duszy matka, wyciągając ręce nad jej główką.

— Już je dał!—odparła obejmując ją w ramiona. I słysząc szelest znaczący w przedpokoj, zawołała głośno:

— Tatku! Gustawie! A chodźcie! Jak to można lękać się szczęścia!

Drzwi uchyliły się zwolna i pierwszy wszedł ojciec, prowadząc Gustawa jak małe dziecko za rękę, matka wsparta na ramieniu Zosi postąpiła ku niemu naprzód, wyciągając obie ręce przed siebie. Wtem niespodziane zajście zerwało czar

wzruszenia jakie zapanowało, mimo wesołego przed chwilą okrzyku Zosi, usiłującej natchnąć rodzinę swobodą: Oto mały Edzio przyglądający się dotąd z kątką z wielkiem zdumieniem pięknej nieznajomej pani, która podobno, jak się zaczynał domyślać miała być jego siostrą, skoczył teraz pomiędzy matkę i brata i, rzucając się Gustawowi na szyję, wołał:

— Panie, mój najdroższy panie! a cóż się stało z tą loteryją?

— Aha, a to kto jest?.. Jak żyję nie widziałam tak mądrego dziecka!—zawołała Zosia, uszczęśliwiona, że wyskok malca zrobił niejaka przerwę i sprawił pewne wstrząśnienie w zbyt natężonem wzruszeniu matki, którego się dla niej obawiała.

— Ejże! ejże! ty mądry chłopcze, czyś ty czasem nie mój brat?—pytała wesoło malca, patrząc z boku niespokojnie na matkę łkającą w objęciach Gustawa; potem zbliżyła się do ojca.

— Uspokój się skarbie mój, już nie ma obawy kiedy płacze, spłacze wzruszenie...—szepnęła





w odpowiedzi na jej pytające, pełne obawy spojrzenia.

XXI.

Pani Janowa w gniewie.

Nastąpiła chwila której niepodobna byłoby opisać ani powtórzyć, ponieważ wszyscy jednocześnie pytali i odpowiadali sobie wzajem; oni tylko sami zdolni byli zrozumieć gwar jaki wtedy nastąpił i porozumieć się w tym gwarze. Mimo woli rodzice usiedli tak, że każde z nich trzymało jedną ręką odnalezionego syna za rękę, drugą córkę; tworzyli więc prawdziwe kółko rodzinne. Zauważywszy to Zosia, kazała młodszemu bratu wejść w środek, ażeby nie był przecież wyłączony z rodzinnego kółka. Malec spełnił co prędzej rozkaz siostry, podsuwając się pod złączone ręce jej i ojca jakby w grze jakiej, ale potem, już bez niczyjego rozkazu usadowił się na kolanach „najdroższego pana” i objąwszy go oburącz za szyję, mącił i tak gwarną rozmowę ogólną, dopytując, jak go teraz nazywać należy.

Tymczasem wieczór nadszedł i nikt nie się nie dowiedział co do wzajemnej przeszłości, ponieważ każdy chciał się odrazu dowiedzieć wszystkiego; i nikt nie postanowił co do przyszłości, chociaż wszyscy o niej mówili. A wtem wybiła dziesiąta i dwoje dzieci odnalezionych zerwało się z miejsca, zabierając się odchodzić.

— Wy? odejść? Gdzie? Za czem? Po co?— krzyknęli oboje rodzice, a Edzio schwyciwszy połą brata i suknię siostry wołał:

— Nie puszczę!

— Pan! Ikska chora jest i sama jedna; czyliż nie powinna do niej powrócić?— powiedziała Zosia.

— Masz słuszność; ona zaopiekowała się tobą gdy cię własny ojciec od siebie wygnał!—z goryczą rzekł ojciec.

— Mój tatkul... bardzo proszę nie mówić mi nigdy takich brzydkich słów na mojego ojca!— zawołała ze łzami uwieszając się ojcu u szyi.— Mimo to powinnam wrócić do pani Ikskiej? choć-

będziesz uważał ów bilecik doręczony mi o jedenaściej w nocy, tak, że aż to oburzyło Rozboja, za zupełnie wystarczający, i że nie zgłosisz się więcej.

Po takim przyjęciu, zdawałoby się nie jednemu, że Gustawowi wypadało już tylko uklonić się, odejść i nie wrócić więcej: ośmioletni stosunek profesora z powołania z uczniem z zamiłowania, byłby natenczas skończony. Nie jeden też może byłby tak zrobił. Ale nie zrobił tak Gustaw, znający do głębi swego przyjaciela i czujący, że jak wczorajsze gorzkie słowa ojca do Zosi zwrócone, tak i dzisiejsze przyjęcie profesora, miały źródło nie w czem innem, tylko w miłości starców dla młodego pokolenia. Zamiast tedy dąsać się lub smucić, Gustaw przystąpił do profesora, usiadł przed nim na taburecie Judasza, bez ceremonii, o mało nie przygniótłszy mu ogona, i śmiejąc się z cicha, całował staruszką to w ramię, to w rękę, to w drugą i znowu w ramię, aż ten zdziwiony mocno, bo nie bywały we zwyczaju takie między nimi

pięszczo, zapytał, usiłując mówić surowo i szyderczo, gdy tymczasem głos mu drżał i miękł wyraźnie:

— Cóżes się pan tak rozcałował?

— To tak z matką!—odparł szczerze Gustaw i krótko a dokładnie rozpowiedział, jak mały Edzio posławszy go po loteryjne informacje do swego ojca, stał się powodem odnalezienia rodziców. Potem opowiedział Gustaw dalej, jak rodzice jego po długiej chorobie matki w owej oberży przydrożnej, napróżno starali się wiedzieć o dzieciach. Szukali długo, po kilka razy wznawiając usiłowania za pomocą brata, aż zrozpaczeni, wraz z bratem, który dla ich ratunku sprzedał małą swą posiadłość w Kielcach, schronili się do nędznej kolonijki, gdzie wspólnie pracowali na roli jak kmiecie, aż do chwili, gdy dla wykształcenia Edzia przybyli do Warszawy. Pism żadnych biedacy nie prenumerowali, więc nie czytali ogłoszeń.

Profesor, zapomniawszy już ze wszystkim o gniewie wywołanym jedynie i głównie lakoni-

zmem owego bileciku, zamyślił się, westchnął ciężko i spytał:

— No, i cóż wy teraz zamýślacie moje dzieci? Naprzykład Zosia, gdzie teraz mieszkaó będzie? Boć znękaney i chorej teraz Ikskiej chyba nie należałoby opuszczać, a i rodzonym rodzicom córka także się należy,.. więc, jakże to będzie?

Gustaw, wykształcony w szkole życia, przy wszystkich swych rzeczywistych przymiotach był też bardzo domyślny, zrozumiał więc odrazu, że profesor dopytując o Zosię, dopytywał się właściwie o jego własne zamiary, odpowiedział zatem, przygotowany na to pytanie:

— Tak, panie profesorze, interesa to trudne są do pogodzenia, a ja sobie myślę, że gdyby też poszukawszy, udało się gdzie, choć dalej od miasta kupić za moją sumkę, jaki domek?.. choćby drewniany, byle o kilku izdebkach, abyśmy się wszyscy razem, a każde oddzielnie dla wygody, i pani Ikska i pan profesor i moi rodzice pomieścić mogli?..

Profesor zerwał się jak oparzony; aż Rozbój i Judasz skoczyli na środek pokoju:

— Ależ ten oto domek w którym mieszkam jest do sprzedania i ma trzy oddzielne mieszkan-ka! Idę zaraz do właściciela!—zawołał;—ale czy tamci, twoi rodzice i Ikska na to przystaną?

— Zaręczam, że przystaną gdy my ich poprosimy, ja i Zosia—zapewnił Gustaw.

I nie darmo zapewniał. Wszyscy najchętniej przystali, tem bardziej, że innego sposobu nie było, aby starsi mogli nie rozłączać się z młodymi.

XXII.

Dom o trzech mieszkaniach.

Ale zanim się to jeszcze stało, zaraz w chwili po tej rozmowie, profesor pobiegł do właściciela domu, a Gustaw do swej roboty, obiecując wrócić po dniu pracy, za nim jeszcze ujrzy rodziców. Obietnica ta ożywiła emeryta, który już lękał się, że tukochany uczeń zapomni o nim zupełnie dla rodziców. Ucieszony, wróciwszy od

właściciela domu który gotowym się do ukła-
dów okazał i obiecał zostawić pewną sumkę na
hypotece, profesor opowiedział zamiary i obie-
tnice Gustawa Janowej, a to w celu udobrucha-
nia jej, gdyż od jej humoru obiad przecież zależał:

— Wróci? Razem w jednym domu mie-
szkać? Hm,.. no no, zobaczymy najprzód czy
„mały” dzisiaj jeszcze do nas wróci, a potem po-
gadamy o reszcie!..—rzekła znacząco babina,
zawsze nazywająca Gustawa „małym” jak przed
ośmiu laty.

Oczekiwano w niepokoju; aż gdy Gustaw
istotnie zjawił się koło wieczora, profesor, gospo-
dyni, Rozbój i Judasz wypadli naprzeciw niego,
wszyscy czworo z wielkimi oznakami radości,
uwierzywszy dopiero wtedy, że wychowaniec nie
opuści ich dla rodziców, kiedy w drugim dniu
ich odnalezienia tego nie zrobił.

— A teraz jedziemy!—zawołał Gustaw odzie-
wając profesora bez żadnej poprzedniej umowy.

— Co? gdzie? po co?—pytano.

— Oczywiście, poznać się z moją matką!

— No, chyba. że z twoją matką,.. bo co z ojcem, to ja się nie chcę poznawać—rzekł profesor pozwalając się ubierać.

— A to czemu?—zmartwiony Gustaw zawołał.

— Temu... że już się z nim poznałem!..—figlarnie odparł profesor— był tu dziś u mnie przed dwiema godzinami.

— Ah,.. a ja żałowałem właśnie, że ojcu nie dałem adresu... A!.. to pewno Zosia go dała!.. domyślił się Gustaw zdziwiony i ucieszony.

Pojechali; zastali u rodziców Zosię, która bardzo prędko poprzyjaźniwszy się z profesorem, przedstawiła mu uroczyście przyszłego jego ucznia, swego młodszego „mądrego brata” jak go nazywała, który posyłając „najdroższego pana” po informacje loteryjne do swego ojca, głównie przyczynił się do odnalezienia rodziców.

Wojczyńska zmęczona była, bo właśnie tylko co wróciła z Zosią od pani Ikskiej, której czuła się obowiązana podziękować za Zosię, tak jak Wojczyński profesorowi za opiekę nad Gustawem

podziękował. Profesor przyjął podziękowania serdecznie.

— Tylko—dodał kręcąc głową— pytanie zachodzi czy ja bym potrafił zrobić go tem czem on jest, gdyby on z rodzicielskiego domu nie wyszedł już tem czem był, gdy w moje dostał się ręce.

Co do pani Ikskiej ta oświadczyła stanowczo, że żadne podziękowania jej się nie należą, bo Zosia pracą swą nauczycielską po skończeniu kursu nauk i wprzódki jeszcze w niższych klasach wypłacała jej się pod względem materyjalnym za wykształcenie swoje.

Gdy zebrani w kółku rodzinnem, zwiększonym osobą profesora, Wojczyńscy, rozmawiali o zamiarach Gustawa kupienia domku na Chłodnej ulicy, gdy pani Wojczyńska zajmąwszy się niezmiernie żywo tym projektem, żałowała, że nie wiedziała o nim przed godziną, aby zawiadomić o nim Ikską, zaniepokojoną mocno o to, przy kim teraz pozostawać będzie Zosia, wtem zadzwoniono i Edzio pobiegłszy, oznajmił, że jakiś pan

z drukarni życzy sobie widzieć się z panem Gustawem Wojczyńskim.

Gustaw zaledwo spojrzawszy w głąb przedpo-koju zawołał:

— A! to ty! A chodźże, ciebie nam tu brakło!—i pociągnawszy za rękę młodego, bardzo przyzwoicie wyglądającego człowieka, przyprowadził go przed rodziców i siostrę mówiąc:

— Oto najpierwszy i najmilszy równieśnik mój i przyjaciel jakiego znalazłem w Warszawie, Antoni Borowski, kolega w fachu i który mimo woli pokierował mną na świecie; u jego matki znajdowałem nieraz radę, współczucie i odciechnienie w ich domu.

— Gdzie i ja mam szczerzy zamiar poszukać sobie przyjaciółki, która się Ludką nazywa,—dodała Zosia.

— I która od wielu lat już kocha pannę Zofiję, znając ją za pośrednictwem jej brata, ale natychmiast dodał zwracając się do Gustawa:

— Nie myśl proszę, że ośmielam się przeszkadzać państwu dla mojej jedynie przyjemno-

ści, aby twojej rodzinie przedstawionym zostać. Ja biegam za tobą i szukam cię gwałtownie, gdyż doniesiono nam do drukarni, że złoczyńca który ograbił cię w Saskim ogrodzie, zgłosił się z numerem twoim loteryjnym po odbiór wygranej i twoja obecność jest tam koniecznie potrzebną, gdyż go przytrzymano.

— Ależ ten człowiek chyba zmysły postradał, żeby zgłaszać się z tym biletem, narażając się na przytrzymanie,—zawołał Wojczyński.

— Kogo Pan Bóg chce ukarać temu rozum odbiera; ten człowiek ryzykował, w przypuszczeniu, że może jeszcze nie poczyniono zastrzeżeń co do zrabowanego Numeru. Żegnam państwa!—rzekł Antoni, i oba z Gustawem wybiegli spiesznie.

W pół godziny później Gustaw poznał z trudnością w schwytanym rabusiu owego Wita, niegdyś chłopca z cukierni, który wszedłszy tak samo jak on do szkoły życia, wykształcił się w niej zupełnie na co innego, nie na uczciwego i dzielnego pracownika, jak Gustaw.

Z przeprowadzonego następnie śledztwa pokazało się, że Wit odkąd tylko poznał bliżej dawnego Janka i przekonał się o jego złych sprawkach, zawsze niby usiłował go unikać, ale Janek trzymał się go jak zły duch, i próżniaka do różnych namawiał swawoli, aż udało mu się i do haniebnego rabunku go namówić. A to dla tego, że Wit przyzwoiciej wyglądał i porządniejsze miał ubranie od Janka i jego innych towarzyszy, i przeto mógł łatwiej od nich udawać przyzwoitego pana, gdy tego było im potrzeba.

Cała sprawka, a przy niej wiele innych wyszło teraz na jaw. Gustaw odebrał swój skromny zegarek a nawet i portmonetę, bez owych kilkunastu znajdujących się w niej złotych jedyń. Następnie wygraną z loteryi odebrał i rozdzielił ją pomiędzy towarzyszy w drukarni, sam biorąc część swoją, niedużą, przy tak znacznej ilości współwłaścicieli losu, oczywiście.

Ale Zosia mimo to utrzymywała, że na tej loteryi Gustaw i ona sama wygrali wielki

i większy od wielkiego los, bo ojca i matkę i brata.

Pani Ikska z radością przyjęła wiadomość o kupnie posiadłości przez Gustawa, a będąc proszoną przez całą rodzinę Wojczyńskich, chętnie przystała na zamieszkanie w drewnianym domku przy ulicy Chłodnej. Szło jej głównie o to, żeby się nie rozłączyć z Zosią, tak samo jak profesor chwycił się tego pomysłu dla zatrzymania Gustawa przy sobie.



Pod kierunkiem nauczyciela J. Lenartowicza.

Skladał czcionki głuchoniemy A. Strygocki.

Ciut

Cudna Książka

Gadna Książka

45-

474098/1567

Pietua Vesioseka

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

103683

Biblioteka WSP Kielce



0159635